Andrzej Żbikowski

Teksty pogrzebane w niepamięci

Relacje dwóch uciekinierek z masowego grobu Poniatowa

Redakcja nowego pisma zwróciła się do mnie z prośbą, bym ustosunkował się na przykład do problemu: „Jaki jest związek między nowymi odkryciami źródłowymi a rozwojem piśmiennictwa historycznego nad Holokaustem europejskich Żydów?". Szczerze mówiąc, na tak postawione pytanie nie jestem w stanie odpowiedzieć, choć od dawna zauważam i odnotowuję wprowadzane przez historyków do narracji o Holokauście całkowicie nowe grupy źródeł. Nie wydaje mi się, by ten fakt wpłynął w jakiś zasadniczy sposób na główne nurty tego piśmiennictwa. Najważniejsze nowe ujęcia syntetyczne – w tym tomie omawiam dwie niezmiernie ważne książki Christophera Browninga i Goetza Aly'ego – dotyczą mechanizmów Zagłady i działań jej sprawców – zarówno niemieckich nazistów, jak i tak zwanych zwykłych Niemców, urzędników, wojskowych, przedsiębiorców. Z lektury tych i wielu innych nowszych prac nie odniosłem wrażenia, że lepsze zrozumienie tychże mechanizmów wiąże się z jakimiś znaczącymi odkryciami źródłowymi. Ważna jest raczej inna problematyzacja całego megaproblemu, dostrzeżenie znacznie szerszych związków łączących bezprecedensową zbrodnię na ludności żydowskiej z codziennymi problemami okupacji. W tym ujęciu, określanym jako stopniowa radykalizacja działań skierowanych przeciw Żydom, podkreśla się wzajemne zależności między działaniami podejmowanymi na peryferiach władzy – z lokalnej inicjatywy, często motywowanej koniecznością rozwiązania konkretnych, bieżących problemów, czasem wynikającej z ideologicznej gorliwości nazistowskich działaczy, czy też ich rywalizacją w drodze do wyższych stopni kariery, a coraz bardziej radykalnymi decyzjami centrum. Analiza tego „sprzężenia zwrotnego" pozwala lepiej zrozumieć jak do tego mordu w ogóle mogło dojść, dlaczego inni „zwykli" Niemcy nie potrafili się nazistom przeciwstawić, dlaczego też rzeź doprowadzono do samego końca, nie licząc się, że po przegranej wojnie odpowie za to cały naród niemiecki. W tych analizach znane od dosyć dawna dokumenty niemieckie interpretowane są często w bardzo nowatorski sposób, nie ma jednak mowy o jakichś przełomowych odkryciach źródłowych.

Inaczej rzecz się ma z tak zwaną optyką świadka, czyli stosunkiem chrześcijańskich społeczności europejskich do dziejącej się na ich oczach Zagłady. Odkryć w tej nie od tak dawna uprawianej dziedzinie piśmiennictwa holokaustowego jest ostatnio bardzo wiele, choć na razie nie zmieniły one jeszcze powojennego paradygmatu. A w nim podkreśla się z całą siłą absolutnie dominującą bierność otoczenia odwracającego ze strachu głowę, gdy wywożono Żydów na śmierć, oraz marginalne znaczenie pomocy dla ofiar,

jak i równie nieistotną współpracę „sąsiadów" z okupantem w jego niszczycielskim dziele. Wydaje mi się, że jest to obraz nawet nie tyle uproszczony, ile po prostu fałszywy. Jestem przekonany, że najbliższe lata właśnie w tej sferze badań będą najbardziej brzemienne w nowe ustalenia. Okazuje się bowiem, że wbrew intencjom może nawet większości świadków tamtych czasów – lata powojenne nigdzie w Europie nie sprzyjały szczerym wypowiedziom akurat w tej kwestii – w archiwach zachowały się liczne ślady nie tylko czynnej wrogości wobec żydowskich ofiar, lecz przede wszystkim wrogiej bezduszności wobec ich cierpień i prawie powszechnego chciwego zainteresowania pozostawionym przez nich dobytkiem. W jakim stopniu był to wynik wielowiekowej antysemickiej wrogości, w jakim zaś odcisnęły się nieludzkie warunki samej okupacji i obserwowany na co dzień stosunek Niemców do wyzutych z wszelkich praw Żydów, nie jesteśmy jeszcze w stanie odpowiedzieć. Obie perspektywy są z pewnością bardzo ważne.

Wydobywając nowe źródła dotyczące stosunków chrześcijańsko-żydowskich w latach okupacji i Zagłady, wydobywamy też z zapomnienia same ofiary. Dla badaczy mechanizmów Zagłady, nie wychodzących poza „perspektywę kata", żydowskie ofiary są zwykle anonimowe, są ich setki, tysiące, miliony. Dla badacza stosunków sąsiedzkich rzadko kiedy grupa zadenuncjowanych czy ograbionych ofiar przekracza kilka osób. Bardzo często były to osoby znane im co najmniej z imienia, wiedziano, skąd pochodziły, czym się do wojny zajmowały. Z imienia zostały też zanotowane w sądowych bądź policyjnych rejestrach. Tych ludzi staramy się ocalić od zapomnienia.

Problemem jest jednak i to, że nowe wnioski opieramy w coraz większym stopniu na materiale retrospektywnym, czyli źródłach narracyjnych z pewnej już perspektywy odwołujących się do wydarzeń wojennych. Źródeł prawie współczesnych wydarzeniom, nieobarczonych skomplikowanym powojennym kontekstem towarzyszącym ich powstaniu odnajdujemy w archiwach niewiele. Takim ważnym, wcześniej zupełnie nieuwzględnianym przez historyków źródłem okazały się na przykład donosy pisane w Generalnym Gubernatorstwie do władz niemieckich, częściowo opublikowane i świetnie zanalizowane przez Barbarę Engelking-Boni, oraz materiały śledcze i sądowe spraw przeciw szmalcownikom, zbadane przez Jana Grabowskiego. Te dwie cenne sondy zapowiadają, że ten typ świadectwa źródłowego na dobre zagości w badaniach historycznych. Oczywiście, pojawia się od razu kolejny problem – okazało się bowiem, że dla tematyki okupacyjnych stosunków polsko-żydowskich znacznie bogatsza jest baza źródłowa dotycząca negatywnych aspektów tych relacji niż baza dotycząca tak zwanych pozytywów. Jest to o tyle naturalne, że nikt nie liczył, by osoby narażające się na szalone niebezpieczeństwo, ratując prześladowanych Żydów, prowadziły masowo drobiazgowe pamiętniki czy robiły innego rodzaju notatki. Ma to jednak swoje znaczące konsekwencje. Po stronie dowodowej negatywów mamy bogate „archiwa represji" (określenie Jana Grabowskiego), po drugiej – pozytywów – bardzo skąpą spuściznę Rady Pomocy Żydów i nieliczne odniesienia do tej tematyki w zachowanej dokumentacji struktur Polskiego Państwa Podziemnego (wraz z materiałami wysłanymi z kraju do różnych instancji rządu emigracyjnego we Francji i w Londynie) oraz prasy konspiracyjnej.

Myślę, że właśnie głównie z powodu tej dysproporcji między głównymi grupami współczesnych wydarzeniom wojennym źródeł, na obrazie stosunków polsko-żydowskich zaciążyły wojenne i bezpośrednio powojenne świadectwa uratowanych Żydów. Jak dotychczas wykorzystywane były przez historyków dosyć bezkrytycznie, zaryzykowałbym określenie, że „używano" ich do uzasadnienia apriorycznych sądów o tamtym wojennym, czyli absolutnie nadzwyczajnym, stanie rzeczy. W tym sensie „odkrycia" źródłowe zawsze jedynie dodatkowo „uzasadniały" czyjś szerszy arbitralny pogląd – na przykład, że w czasie wojny Polacy zrobili wszystko, co mogli, by Żydom pomóc, bądź że nic w tym kierunku nie robili. Rzadko który historyk szukał jakichś cezur we wzajemnych stosunkach, łączył postawy polskich sąsiadów z ich konkretną sytuacją bytową, z aktualnymi doświadczeniami w kontaktach z okupantem czy, dla odmiany,

z zalewającą kraj propagandą antysemicką. Tkwiące w micie heroicznym polskie piśmiennictwo historyczne poświęcone okupacji nawet nie zająknęło się o jakże naturalnym zjawisku nieuniknionej kooperacji polskiego społeczeństwa z władzami niemieckimi. Prawie nie ruszono takich kwestii historyczno-socjologicznych, jak wzrost wszelakich patologii w życiu społecznym, anomii, wymiany elit, zmian w religijności *etc*. Nie jest to jednak grzech jedynie polskiej strony. Badacze żydowscy, od kilku dziesięcioleci analizujący wspomnienia uratowanych Żydów, nie potrafili jak dotychczas nakreślić realistycznego wizerunku zamkniętej w gettach wspólnoty żydowskiej. Ciągle przypatrują mu się jak monolitowi, nie wychwytując różnych wyraźnie zaznaczonych strategii przetrwania. Prace o judenratach, policji żydowskiej, wzajemnych denuncjacjach i innych formach kolaboracji są dopiero w powijakach.

Wszystkie te narzekania na niedociągnięcia i niedostatki w badaniach nie kłócą się jednak z moim przekonaniem, że historycy Zagłady nie mają innego wyjścia poza wprowadzaniem do obiegu naukowego nowych tekstów źródłowych i nieustannych dyskusji wobec możliwych ich interpretacji. Im nowy tekst będzie bliższy czasowo opisywanym wydarzeniom, tym większe nadzieje należy wiązać z jego zrozumieniem.

W naszych badaniach czasami odkrywamy na przykład takie przekazy, o których wiemy, że czytały je dziesiątki znaczących osób, lecz żadna z nich nie zrobiła ze swojej wiedzy użytku. A przecież – dziś wydaje się to oczywiste – ogłoszenie niejednego tekstu w odpowiednim momencie mogłoby bardzo tropionym przez całą machinę Trzeciej Rzeszy niedobitkom narodu żydowskiego z pewnością bardzo pomóc. Na taki tekst natknąłem się w archiwum Instytutu Polskiego i Muzeum im. Generała Władysława Sikorskiego w Londynie. W aktach poczty z kraju do MSW rządu londyńskiego znalazł się między innymi zbiór raportów „Żegoty" zatytułowany „D[elegatura] R[ządu] Dep.[artament] Spr.[aw] Wewn.[ętrznych] Referat Żydowski. Raport specjalny. Jako załącznik do sprawozdań Ż[ydowskiego] K[omitetu] N[arodowego] i Bundu, tylko dla Pana Premiera"[1]. Do raportu dołączono kilka załączników, w tym dla mnie najważniejszy, pt. „Likwidacja Poniatowa – relacja Ludwiki Fiszerowej uciekinierki z grobu, podajemy bez żadnych zmian w redakcji".

Fiszerowa cudem uszła z życiem z egzekucji, przeprowadzonej 4 listopada 1943 roku przez członków SS i wartowników z pomocniczej formacji ukraińskiej w ramach likwidowania żydowskiego obozu pracy przymusowej w Poniatowej, niedaleko Nałęczowa. Była to jedna z kilku masowych egzekucji w ramach tak zwanych dożynek (*Erntefest*), kiedy to z obawy przed dalszymi buntami w obozach zagłady (m.in. 2 sierpnia wybuchł bunt w Treblince, 15 października w Sobiborze), wymordowano na Lubelszczyźnie ponad 30 000 Żydów, mężczyzn, kobiet, dzieci.

Autorka w relacji opisuje jedynie ostatnie tygodnie pobytu w samym obozie, charakteryzując nerwowy nastrój, który tam wówczas panował, i nasilające się bezprawie ze strony niemieckich i ukraińskich katów. Jej wypowiedź dotyczy głównie dwóch aspektów jej niewyobrażalnego doświadczenia – przygotowań do samego przebiegu egzekucji oraz pełnej cudownych przypadków ucieczki z grobu. By tekst jej opowieści, który podaję poniżej w dwóch oddzielnych partiach, nic nie stracił ze swojej wyrazistości, niewiele miejsca w moim wprowadzeniu poświęcam problematyce samego obozu w Poniatowej. Szczęśliwie istnieje w tej materii znacząca literatura przedmiotu[2]. O kilku jednak sprawach nie mogę nie wspomnieć.

[1] IPMS, A.9.III.2a – MSW Dział Społeczny, 27, datowany 25 maja 1944, podpisał „Kalski" (Witold Bieńkowski). Panu Arturowi Podgórskiemu zawdzięczam informację, że relacja Ludwiki Fiszerowej została opublikowana w 1946 roku w Tel Awiwie w języku hebrajskim, w tomie pod red. Meilecha Neustadta *Destruction and Rising, the Epic of the Jews in Warsaw, a Collection of Reports and Biographical Sketches of the Fallen* (s. 64–77). Tłumaczenie tej wersji relacji (z błędnym odnośnikiem, że tłumaczono z jidysz) zamieścił Sam Hoffenberg w książce *Le camp de Poniatowa. La liquidation des derniers Juifs de Varsovie* (Paris 1988, s. 150–169).

[2] Zob. przede wszystkim: R. Gicewicz, *Obóz pracy w Poniatowej (1941–1943)*, „Zeszyty Majdanka" 1980, nr 10, s. 88–104.

Obóz pracy dla Żydów w Poniatowej powstał w październiku 1942 roku. Wcześniej w tym miejscu, na terenie niedokończonej polskiej inwestycji w ramach rozbudowy Centralnego Okręgu Przemysłowego (fabryki urządzeń łączności i osiedla dla pracowników) więziono przez rok 24 000 sowieckich jeńców wojennych; wszyscy zmarli z głodu i epidemii. Właściwa rozbudowa obozu żydowskiego zaczęła się w styczniu 1943 roku, do lipca uwięziono tu od 16 do 18 000 osób, głównie Żydów warszawskich, wcześniej pracujących w szopach odzieżowych Waltera Caspara Többensa (około 10 000) i Fritza Schultza. Pilnowało ich około 600 strażników, w tym 40 esesmanów. Warunki izolacji obozu od otoczenia znacznie zaostrzono we wrześniu 1943 roku, po wykryciu w obozie broni. Zapewne też Niemcy zdawali sobie sprawę, że w obozie działa organizacja konspiracyjna. Egzekucję około 15 000 więźniów 4 listopada przeżyło około 200 osób, pozostawionych do likwidacji śladów mordu, z powodu odmowy palenia ciał zostali oni kilka dni później także zamordowani. Wcześniej kilka tysięcy osób przewieziono do innych obozów, pojedyncze osoby zdołały dzięki pomocy zatrudnionych tu Polaków uciec przed 4 listopada.

„Aktion Erntefest" i likwidacja Poniatowej nie była dla polskiej opinii sprawą nieznaną. Nie znano jednak długo wielu szczegółów. Najszerzej wydarzenia w Poniatowej, Trawnikach i lubelskim Majdanku upubliczniał „Biuletyn Informacyjny". W numerze z 11 listopada 1943 roku (nr 45) w podrozdziale „Zagłada Żydów trwa" zanotowano: „Zastrzelono ostatnio 500 Żydów w Przemyślu, wykończono resztę Żydów w Rzeszowie, w początkach października zlikwidowano żydowskie obozy pracy we Lwowie, ostatnio dokonano likwidacji obozów w Trawnikach i Poniatowie". Dwa tygodnie później (nr 47 z 25 listopada 1943 roku) pisano dość obszernie o „masakrze Żydów na Lubelszczyźnie". Według tej notatki 5 listopada zastrzelono około 13 000 więźniów żydowskich Majdanka i 10 000 w Trawnikach („w tym grupę jeńców – żołnierzy Wojsk Polskich"). Błędnie podano, że „8 XI rozpoczęto trzydniową masakrę w Poniatowie, w której padło 15 tys. ludzi. Tutaj bojowcy żydowscy stawili czynny opór, m.in. podpalają wszystkie warsztaty i magazyny. Niemcy jednak uprzedzili opór, przybywając w sile kilku tysięcy żandarmerii, SS i SD. Kilkaset osób spłonęło żywcem w podpalonych barakach".

Te nieścisłości i generalnie nieco opóźniona reakcja redakcji najważniejszego pisma AK wynikały z braku własnych źródeł informacji. Zresztą także środowiska żydowskie działające w konspiracji długo myliły się w szczegółach. Warszawska „Żegota" ostatnie szczegółowe wieści o warunkach pracy i życia w Poniatowie miała z lata 1943 roku. W jej „Informacji Tygodniowej"[3] z 15 lipca poświęcono temu obozowi cały obszerny akapit. Pisano, że przebywa tu około 14 000 osób, z tego 11 000 we właściwym obozie, a 3000 na tak zwanym osiedlu. Na osiedlu warunki życia były całkiem znośne, aprowizację ułatwiał powszechny szmugiel, kuchnia dziecięca wydawała podobno aż 700 posiłków dziennie. Mieszkający w pobliżu Toebbens „zapowiadał wielokrotnie, że obsada osiedla bezwzględnie przetrwa wojnę, podczas gdy nigdzie indziej Żydzi się nie utrzymają". Potwierdzeniem tej opinii miał być fakt, że pracowało jedynie 3–4000 więźniów, dla reszty nie było zajęcia. Nastroje były bardzo pesymistyczne, niepokoiła wizyta w czerwcu dowódcy SS i Policji w dystrykcie lubelskim SS-Brigadeführera Odilo Globocnika. Konkludowano: „Wyrazem nieufnej postawy ogółu jest zdeterminowana gotowość znacznej grupy więźniów na wszelką ewentualność".

Listopadowa masakra całkowicie zaskoczyła działaczy „Żegoty". Zresztą przez pierwsze dni o niczym nie wiedzieli. Na cotygodniowym zebraniu Prezydium Rady Pomocy Żydom 8 listopada nie było jeszcze

[3] AŻIH, Varia okupacyjne, 230/151. Nieco wcześniej, na posiedzeniu RPŻ 10 lipca 1943 roku była mowa, że zgodnie z uchwałą ŻKN pieniądze otrzymane z zagranicy będą przekazywane zarówno na akcję pomocy na prowincji i „zakup broni i akcję bojową w ośrodkach żydowskich, ujawniających wolę oporu". Wysłano już, podobno, w porozumieniu z Bundem 130 000 zł do obozu w Poniatowej oraz planowano wysłanie 100 000 do Trawnik i zakup broni dla ŻOB w Zagłębiu (Będzin) i Częstochowie na sumę 130 000 zł.

o tym mowy[4]. Pierwsze, niedokładne wieści przedstawił na spotkaniu 16 listopada 1943 roku Adolf Berman „Borowski". Stwierdził: „w Trawnikach dn. 3 XI w ciągu 8–10 godzin zlikwidowano cały obóz, tj. około 10 000 ludzi. Do spalenia ofiar sprowadzono z Lublina 150 Żydów, których po wykonaniu roboty również zabito. W Lublinie 5 XI spędzono Żydów ze wszystkich obozów i wszystkich rozstrzelano. Było tam nie mniej jak 7–8000 Żydów. W Poniatowie w noc z 7 na 8 XI zajechała pod obóz niezliczona liczba aut z żandarmerią, SS i wojskiem i otoczyła ze wszystkich stron tak otaczające obóz osiedla, jak i sam obóz. Posterunki ukraińskie zwolniono, po czym zaczęła się akcja mordercza od tzw. osiedla, w którym znajdowali się fachowcy i inteligencja, około 3–4000 osób. Następnie przystąpiono do likwidacji obozu, w którym znajdowała się reszta Żydów. Akcja trwała przez 3 dni. Zginęło około 15 000 ludzi. Opór stawiono tylko w jednym baraku, ten został podpalony, a ludzie żywcem spaleni. Żydzi zdołali spalić baraki odzieżowe, tj. z odzieżą przygotowaną dla Niemców, jak i ściągniętą z ofiar". Następnie Berman poinformował kolegów o losie Żydów radomskich.

W dyskusji do wypowiedzi Bermana pośrednio nawiązał przedstawiciel Bundu Leon Fejner „Mikołaj". Stwierdził, że „zaczyna się okres likwidacji obozów, jako końcowy akt wytępienia wszystkich Żydów. Rada stoi wobec zagadnienia ratowania resztek. Niestety wobec negatywnego stanowiska wojska do organizacji partyzanckich i do oporu zbrojnego w obozach, organizowanie na większą skalę zbrojnego oporu w obozach celem umożliwienia Żydom ginięcia z honorem oraz ratowanie większej ilości Żydów jest niemożliwe. Ale mimo to należy wysłać ekipy z bronią oraz ratować wartościowe jednostki bodaj. Reasumuje, że należy zwrócić się do organizacji WRN i SL, by dały techniczny aparat, tj. ludzi i pomieszczenia". Dalsza dyskusja dotyczyła realnych możliwości działania. Wart odnotowania jest głos przedstawiciela SL Tadeusza Reka „Różyckiego". Jak zapisano w protokole narady: „Sceptycznie ustosunkowuje się do propagandy »odczuwania«. Złudzeniem by było liczyć na masy [...] Uważa, że na terenie małych miasteczek oraz wsi kwestia znalezienia pomieszczeń na stałe, wobec szpiclowskiego sytemu, jest prawie niewykonalna. Na masową pomoc stałą na prowincji liczyć nie można. Natomiast jeśli chodzi o przejściowe lokum, to jest ono możliwe". Niemniej jednak wydaje się, że do rzezi w Poniatowej na posiedzeniach Prezydium RPŻ więcej nie wracano. Milczą na ten temat protokoły z 27 listopada i 14 grudnia.

Najpełniejsza informacja dotycząca „Krwawej likwidacji żydowskich obozów pracy na Lubelszczyźnie" znalazła się w „Komunikacie prasowym Rady Żegoty"[5] z 18 listopada 1943 roku (nr 3). Pisano w nim, że rzeź w Trawnikach miała miejsce 3 listopada, do czwartej po południu zamordowano 10 000 osób. Odnośnie do Poniatowa nadal podawano błędne informacje. „W Poniatowie jeszcze w niedzielę 7-go listopada panował względny spokój". Niemcy obstawili obóz dwoma pierścieniami. Więźniów „pędzono nago w kierunku rowów, niedawno kopanych rzekomo dla celów kanalizacyjnych". W jednym baraku więźniowie się zabarykadowali, zostali spaleni żywcem. Większość „rozstrzeliwano tuż przed rowami karabinami maszynowymi". Podkreślono z widoczną dumą: „Bojowcy żydowscy, widząc zbliżającą się zagładę, podpalili wszystkie warsztaty i magazyny z ogromną ilością niemieckiej odzieży wojskowej; straty obliczają na kilka milionów. Do ognia rzucano pieniądze i cały dobytek. Masakra trwała trzy dni". Zwłoki ofiar spalono.

Z powodów polityczno-propagandowych dołączono co najmniej nieścisły komentarz: „W obu obozach zastosowali Niemcy nową taktykę. Wiedząc o istnieniu na ich terenie żydowskich organizacji bojowych i pragnąc zdusić w zarodku wszelkie próby czynnego oporu, sprowadzili ogromną masę SS, SD i żandarmerii, zaleli nią błyskawicznie cały teren. Masakrę przeprowadzało kilka tysięcy Niemców na ciasnej przestrzeni. Opór był na szerszą skalę niemożliwy. Charakterystyczne, że w obu masakrach nie brali

[4] *Ibidem*, 149, k. 24 i nast.
[5] *Ibidem*, 151.

udziału Ukraińcy; Niemcy nie mieli widać zaufania, że wykonają mordercze zadanie dostatecznie precyzyjnie i bezwzględnie. W Trawnikach ukraiński obóz szkoleniowy był przez cały czas akcji otoczony przez SS i izolowany. Również w Poniatowie załoga ukraińska została usunięta z obozu w czasie masakry"[6].

Dysponujące od przełomu 1943 i 1944 roku relacją z Poniatowej, MSW rządu londyńskiego nie zrobiło z niej żadnego użytku. Dlaczego? W tej kwestii zdani jesteśmy jedynie na własną wyobraźnię. Możliwych powodów milczenia było jednak nie tak wiele. Po pierwsze polskie media działające w państwach alianckich eksterminacją polskich Żydów zajmowały się poza okresem od jesieni 1942 (koniec masowej wywózki warszawskich Żydów do Treblinki) do wiosny 1943 roku (powstanie w getcie warszawskim) bardzo rzadko. Nawet więc tak wstrząsający tekst mógł zostać uznany za zbyt przyczynkarski, by publikować go na przykład w „Dzienniku Polskim". Można było go jednak przekazać prasie zachodniej. W tym przecież celu przetłumaczono na angielski kilka raportów z kraju dotyczących wywózki Żydów z Warszawy i masowych mordów[7]. Ktoś musiał by jednak taką decyzję podjąć, trzeba by też było wyjaśnić szereg szczegółów – gdzie leży wspomniana Poniatowa, kogo tam więziono, dlaczego obóz zlikwidowano. I wreszcie dlaczego chrześcijańskie otoczenie, a szczególnie polskie podziemie, nie podjęło żadnej próby pomocy skazanym na śmierć więźniom. Relacja Fiszerowej zupełnie nie nadawała się do publikacji, choć obie jej części z nieco odmiennych powodów. Pierwsza wskazywała, że w okupowanej Polsce skazani na pewną śmierć są przede wszystkim, a może i wyłącznie Żydzi. Druga udowadniała, że ich polscy sąsiedzi do narażania się dla ich ratunku są bardzo rzadko gotowi, przeważają bowiem wśród nich osoby wyzbyte litości, żądne za to dóbr, o których posiadanie zawsze oskarżano Żydów. Pomoc można było z powodu oczywistego niebezpieczeństwa jedynie kupić i to za bardzo wygórowaną cenę. Jak taki obraz przekazać zagranicy? Działałoby się wbrew oczywistemu polskiemu interesowi. Przecież od wolnego świata oczekiwaliśmy współczucia i pomocy dla prześladowanego polskiego narodu, który z niebywałą determinacją i hartem bronił się przed uciskiem i szykanami okupanta. Ten obraz „narodu-ofiary" nie znosił jakiegokolwiek światłocienia.

Dla ludzi prawych, którzy w Londynie czytali relację Fiszerowej, a także wiele innych raportów „Żegoty", teksty, z którymi obcowali, były prawdziwą pułapką. Zapewne bardziej przenikliwi zdawali sobie już wówczas sprawę, że na polskich ziemiach rozgrywa się dramat nieznany dotychczas ludziom, dramat całkowitej zagłady narodu, naznaczonego jedynie piętnem pochodzenia. Narodu bezbronnego i całkowicie osamotnionego w swoim cierpieniu. Może ci domniemani czytelnicy przewidywali nawet, że po wielu latach właśnie wspomnienie i refleksja nad tą zbrodnią, choć równocześnie miało miejsce wiele innych,

apel miał odbyć się o godzinie 2-giej, pierwszą zmianę zatrzymano w szopach. Pracowali oni od 6,30 rano do 2,30 w obiad.

Druga zmiana wychodziła z osiedla o pierwszej minut 30, ażeby na godz. 2-gą być w obozie i zdążyć odebrać obiad. Gdy przyszła druga zmiana zliczono razem ludzi. Liczył Lagerspiess[13] Gley. Było o kilkadziesiąt osób mniej niż na liście. Brakujących ludzi Gley zamierzał szukać na osiedlu. Kiedyś Gley powiedział: „Die Pension muess man vernichtet"[14]. Jednocześnie na osiedlu o 2-ej odbywał się apel Arbeitseinsatzu, który trwał do godziny 4-ej. Powinien był być apel na piątym polu Arbeitseinsatzu również, a jednak go nie było. Toebbensowcy lekceważąc sobie apel, nie poszli tego dnia do pracy. Podczas apelu na osiedlu przyłączyli się do grup SS, bo mieszkania od godz. 2-ej do 4-ej miały być puste. Również matki z dziećmi do 4-ech lat, które miały prawo być nieobecne na apelu, musiały opuścić tego dnia mieszkania. Zdawało się, że apel skończy w spokoju i wszyscy wrócili do bloków. Jednak coś jeszcze wisiało w powietrzu. Ciemna szara chmura zawisła na niebie, jakby spowijając obóz całunem ciężkiej żałoby. O godz. 4 min. 30 dzwoni Gley na osiedle i pyta, czy apel skończony. SS-man zwany Brylusiem odpowiada, że skończony. Gdy pada rozkaz Lagerspiessa, aby jeszcze raz wszystkich zwołać. Zawiadamia, że już przyjeżdża. I znowu donośny głos Werkschutzów[15]: „Wszyscy wychodzą". Już padają strzały w tłum. Już są ranne kobiety. Ludzie zostawiają mieszkania otwarte, nie zdążą ubrać w popłochu palt. Pod gradem kul lecą w kierunku placu, gdzie odbywał się apel. Już są Ukraińcy z karabinami, czekając oczywiście na rozkaz. Wszyscy szybko ustawili się w piątki. miertelna cisza, głośne bicie serca, oczy rozszerzone strachem. Nie padają żadne pytania, zwykle zaś podczas apelu bywało gwarno. Bryluś pyta grupowych, ilu mają ludzi, każdy przedstawia swoją ilość. Pyta jeszcze raz niedowierzająco. Padają groźne słowa. Jeżeli grupowi nie przyznają się czy mają obcych, będą natychmiast rozstrzelani. Zaczęło się wyszukiwanie obcych. Okazało się, że jest tych nieszczęśliwych kilkadziesiąt osób, brakujących w szopie. W tym kilkanaście zwolnionych przez lekarza. Resztę okrążyli natychmiast Ukraińcy, popchnęli w kierunku lasku, przy samym wejściu na osiedle. Tymczasem w lagrze rozległ się gong – godz. 4-a praca skończona. Zbiera się grupa o godz. 4-ej wychodząca z lagru po prostu do domu na osiedle. Przy wejściu do osiedla zatrzymują grupę około 1500 osób. Przypadkowo byłam w pierwszych szeregach i chcąc nie chcąc musiałam być świadkiem dalszych wypadków, jakie się rozegrały. Kobiety płakały, spazmowały, jedna głośno przysięgała: „Herr Lagerspiess ich schwoere bei Gott, ich arbeite jeden Tag, nur heute..."[16]. Słowa zostają przerwane. Rozlegają się krzyki i płacze. Każą się rozebrać i położyć wszystkim. Padło kilkadziesiąt strzałów. Krew w żyłach nam zastygła. Dostaję spazmów, moja córeczka 10-o letnia, którą przypadkowo tego dnia zabrałam ze sobą, uspokaja mnie. Mąż szybko ręką zamyka mi usta, zasłania oczy. Musimy być spokojni. Widziałam jeszcze, jak Werkschutz Gedanken, chcąc ratować swoją żonę, prosi o jej zwolnienie. Kazali mu również się rozebrać i położyć z nią razem. Po egzekucji Ukraińcy wrócili do swego bloku. SS-mani Gley, Bryluś i Rottenfuehrer[17] pojechali do obozu, prawdopodobnie do hotelu, gdzie wszyscy zamieszkiwali. Bezpośrednio po wypadku, grupę naszą wpuszczono na osiedle. Przeszliśmy przez trupa młodego mężczyzny, leżącego w ubraniu w poprzek szosy. Spieszył prawdopodobnie do koszykarni na apel,

13 Dosłownie: sierżant, feldfebel obozowy (niem.). Gicewicz nie podaje imienia ani stopnia esesmana Gleya (Glei). Prawdopodobnie chodzi o Heinricha Gleia przesłuchiwanego w 1961 roku przez niemiecką prokuraturę w Hamburgu w sprawie mordu w Poniatowie (postępowanie w sprawie Lothara Hoffmanna, zob.: P. Black, *Prosty żołnierz....*, *op. cit.*, s. 119).

14 Pensjonat należy zniszczyć (niem.).

15 Straż zakładowa (niem.).

16 Panie komendancie przysięgam na Boga, codziennie pracuję, tylko teraz... (niem.).

17 Nie nazwisko, lecz stopień służbowy w SS.

lecz już nie zdążył. Chleb, jabłka i chlebak leżały przy nim rozrzucone. Mijając nagie trupy, wpadliśmy na osiedle jak szaleńcy. Każdy z nas kogoś bliskiego pozostawił w domu. Każdy chciał jak najprędzej zobaczyć swoją rodzinę. Słychać krzyki, płacze i nawoływania. Leci młoda kobieta mówiąc: „Tatusiu ja cię zabiłam, nie dałam ci iść na apel do szopu, jak ja teraz będę żyła mając na sumieniu Twoją śmierć". Z tymi słowy biegła dalej. Przed 6-tym blokiem wpadła na nas synowa mojego męża (był to mój drugi mąż). „Czy tata nie widział Mietka w partii wychodzącej o 4-ej z lagru?" On zaś jednocześnie pyta, czy ona jego nie widziała na apelu. Syn pracował na placówce i bardzo często o godz. 1 przychodził ze szmuglem na osiedle. Często zostawał w domu. Szczęśliwie tego dnia okazało się, że nie opuszczał swojej placówki. Po skończonej pracy, jakby przeczuwając coś złego, nie odłączył się od swojej placówki. Poszedł z nimi razem do obozu. Nie mając swojej przepustki przy sobie, kupił za 5 zł przepustkę na jednorazowe przejście na osiedle. Po jego przyjściu do domu musieliśmy kupić litr wódki (mając znajomości dostaliśmy tego dnia wódkę). Nie dla poprawienia humoru, lecz dla równowagi wewnętrznej. Po tym wypadku inne wypadki rozstrzeliwania za błahe przewinienia potoczyły się z błyskawiczną szybkością. Zaczęło się od aresztowania najbogatszych, byli to Opoljoczowie, Neufeld, Preuzel, Niedźwiedź, Szach i inni. Zwolniono ich za duże pieniądze. Codziennie miały miejsce rozstrzeliwania i aresztowania. Rozstrzeliwano za spanie przy pracy, przy pracy nie wolno było siedzieć. Rozstrzeliwano również chorych ze zwolnieniami lekarskimi, którzy nie zostawali w barakach. Miałam właśnie małe przejście w tych tragicznych dniach. Pracowałam w betoniarce (jak już zaznaczyłam) na 5-ym polu. Był to szop, w którym mężczyźni wyrabiali płyty chodnikowe. Któregoś dnia w drugiej połowie października strasznie się przeziębiłam. Miałam katar i szalony ból głowy. Był piękny słoneczny dzień. Wyszłam z szopu i usiadłam na płytach, grzejąc się na słońcu. Nie zauważyłam, że jedzie Gley na koniu. Zatrzymał się przede mną w odległości 5-u metrów, miałam głowę nachyloną w dół i przytrzymywałam ją ręką. Nagle słyszę po niemiecku: „Was machst du denn, schlafst du?"[18]. Zerwałam się i odpowiadam: „Ich schlafe nicht, ich habe Schrumpfen und Kopfschmerzen"[19]. Na szczęście nadszedł „kapo" i zagadał go, krzyknął do mnie: „szybko uciekaj pani do pracy". W ten sposób uniknęłam tego dnia śmierci. Tego samego dnia rozstrzelano kilkanaście osób za spanie, siedzenie przy pracy, brak przepustek i inne błahe przewinienia. 24 października jak zwykle przyszliśmy na plac. Apel przeciągał się w nieskończoność. Fisch meldował Lagerspiessowi Gleyowi, ilu ma ludzi. Gley znowu Lagerfuehrerowi Heringowi. Przyszedł również Untersturmfuehrer Walerang zatrzymujący się najpierw na szosie jak artysta na scenie oczekujący na oklaski, następnie dopiero zbliżał się wolnym krokiem do nas. Najpotrzebniejsze placówki, jak krawiectwo, szewstwo, stolarstwo, kanalizacja i inne poszły do swojej pracy. Natomiast placówki nie nagłące, okrążono nagle Ukraińcami, dano nam łopaty i skierowano do lasu, do innej roboty. Niektórzy przerażeni, inni obojętni, zabraliśmy się do pracy. Naprzeciwko 5-ego pola znajdowało się pole 6-e. Na placu tym, bliziutko lasu, stał duży, ładny blok jednopiętrowy. Wewnątrz znajdowały się elegancko umeblowane i wyłożone dywanami pokoje dla SS oraz pokoje biurowe, w których urzędowali Żydzi. Blok ten zwano hotelem. Trzeba było w lesie koło hotelu oczyścić teren i kopać rów. Teren pełen korzeni i krzaków. Jakieś pół km długości oznaczono drutem i palami. Według tych znaków trzeba było wykopać rów szerokości 1 m, a głębokości 2 m. Pracowaliśmy łopatami, kilofami i siekierami. Untersturmfuehrer Walerang nie opuszczał nas na chwilę. Wbijał pale, pracował łopatą, dawał wskazówki. W miarę możliwości bił, rwał kobiety za włosy i kopał ile sił starczyło. Również przyjaciel jego Gircyk, z grubym pejczem i psem, bił pracujących, szczuł psa, krzyczał: „tempo, tempo". W takim właśnie tempie musieliśmy pracować. Był mroźny dzień bez słońca, mi-

[18] Co robisz, śpisz? (niem.).

[19] Nie śpię, mam dreszcze i boli mnie głowa (niem.).

mo to trzeba było zdjąć palta, rękawiczki i chustki z głowy. Podniosłam raz głowę, spojrzałam w stronę pracujących i zwróciłam wtedy uwagę na rudą kobietę odcinającą się swym kolorem włosów. Zauważyłam jak na chwilę stanęła, sądzę, aby wyprostować plecy. Doszedł do niej Gircyk, walnął ją pejczem po plecach. Od tego czasu, kiedykolwiek odwracałam głowę w jej stronę, zauważałam, iż ani razu już nie wyprostowała się. Wobec tego wypadku, mając jasne włosy odcinające się pewnie wśród czarnych głów pracujących kobiet, ani razu się już nie wyprostowałam. Myśląc, że chyba oszaleję z bólu. Pracowaliśmy od siódmej rano do 12 w poł. O 12-ej rozlega się gong, przerwa 20 min. SS-mani udali się na obiad, wprowadzając przedtem Ukraińców dla pilnowania nas. Podczas przerwy ustawili nas w 5-tki i przeliczyli, ile nas jest. Zmusili nas abyśmy usiedli i grupowi mieli podać nam nasze chlebaki. Nie jedliśmy tego dnia śniadania. Myślałam, iż kuchnia podczas przerwy przyśle nam kawę, wiedząc, iż nagle wzięto nas do niezwykłej pracy. Pracowało 2000 osób. Zasychało po prostu w gardle z pragnienia, każdy wołał o swój chlebak. Zdążyłam zaledwie zjeść pół jabłuszka, chleba nie mogłam jeść bo miałam straszne pragnienie, gdy trzeba było wrócić do pracy. Zwykle nasi opiekunowie obiadowali od godz. 12 do 2 min. 30. Tego dnia natomiast obiad ich trwał zaledwie godz., wrócili szybko, aby nas znowu męczyć. Miałam krwawe pęcherze na dłoniach, z trudnością pracowałam. W takich warunkach pracowaliśmy do 4-ej, czekając na upragniony gong, który zwolni nas z ciężkich robót. Niestety, nadeszła upragniona 4 godz., i nie zwolniono nas. Każde dalsze 15 min. było wiekiem. Zmęczonych, zgrzanych i spragnionych naganiał Walerang do dalszej pracy. Gircyk ze swoim nieodstępnym czarnym psem (jak jego charakter) gwiżdże i każe przerwać pracę. W jednej chwili wyskoczyliśmy z rowów i zaczęliśmy się ubierać. Wśród ubierania się słyszymy z daleka donośny głos Waleranga: „Kto pozwolił nam przerwać pracę". Zanim Gircyk zdążył się wytłumaczyć, że jest to z rozkazu Heringa, musieliśmy w jednej chwili być znowu w dołach, chwycić szybko porozrzucane łopaty i już dalej pracować. Kto nie zdążył się szybko ulokować w rowie, ten załapał od niego parę kopniaków. Na szczęście o 5-ej przyszedł Hering, wytłumaczył Walerangowi, że można nas zwolnić, bo już ciemno. Wyskoczyliśmy z dołu, ustawiliśmy się w 5-tki, zabierając ze sobą łopaty, kilofy i siekiery, które trzeba było oddać do magazynu. Siekiery były naszą własnością. Około 5 października wydany został rozkaz wydania siekier pod groźbą kary śmierci. Oddaliśmy, oczywiście, wszystkie siekiery, myśląc, iż nasi „opiekunowie" już nas opuszczają, bali się widocznie, abyśmy z nimi na nich nie napadli. Wobec tego, żeśmy pracowali do 5-ej, zrobił się bałagan z kartkami aprowizacyjnymi i prawie 2 i 1/2 tys. ludzi nie otrzymało obiadu. Ludzie, którzy żyli z przydziału, poszli tego dnia głodni spać. Dzień przed rozstrzelaniem, było to 3 listopada, jak zwykle przybyliśmy na apel. Trwało dość długo zanim zameldowany został stan ludzi. W międzyczasie nadszedł jeszcze jeden pluton Ukraińców. Żadnej z placówek nie wysłano do pracy. Nie wiedzieliśmy, na co się zanosi. Nagle patrzę: wybierają ludzi, prawdopodobnie na wysyłkę. Będąc bez męża i dziecka byłam przerażona. Oglądam się szukając wyjścia z przykrej sytuacji, jaka się wytworzyła. Nie namyślając się długo melduję grupowemu, iż po katarze mam zatoki zajęte i strasznie mnie boli cała twarz. Zanim otrzymałam odpowiedź od grupowego, już byłam w grupie idących w asyście SS-mana do lekarza. Obwiązałam głowę chustką. Tymczasem na placu wybranych ludzi okrążyli Ukraińcy i zaprowadzili ich do pustego baraku. Lagerspiess Gley nie omieszkał starannie wszystkich zrewidować. Ludzie nie będąc przygotowani na wysyłkę nie ukryli pieniędzy. Padły więc one łupem Gleya. Po zabraniu pieniędzy nagle Gley ze łzami w oczach oświadczył, iż dzwonili do Lublina i uprosili, aby im zostawić swoich ludzi na miejscu. Szkoda im było jakoby z nami się rozstać i niespodzianie wszyscy zostali zwolnieni. 4 listopada – czwartek. Szalony wicher dął, zrywając liście z drzew i ścieląc w lasach piękne dywany. Dnia tego jak zwykle rozległ się gong o 5-ej. Przy drugim gongu byłam już z mężem na dole idąc w kierunku szosy. Jakiś dziwny popłoch na ulicy, nie wiedziałam czemu to przy-

pisać. Chcę iść dalej, ale nadlatuje Werkschutz wołając: „apel o 6-ej, wszyscy wychodzą". Zawróciłam lecąc szybko do domu, musiałam córeczkę ubrać i zapakować jej śniadanie. Zapakowałam cały chleb, jaki miałam w mieszkaniu, jeszcze kawałem masła i parę jabłek. Włożyłam do chlebaka ręcznik, mydło, grzebień i brzytew dla męża. Mąż mój jeszcze się ogolił, myśląc, że będzie selekcja. Ubrał jeszcze jeden pulower, liczyliśmy się bowiem z tym, iż to zima i mogą wysyłać ludzi. Ledwie zdążyłam wszystko ułożyć, znowu rozlega się głos Werkschutza: „wszyscy wychodzą". Trzeba było szybko opuścić mieszkanie. Gwarno u sąsiadów, ludzie ubierają się pospiesznie, aby szybko opuścić blok. Wychodzimy na szosę, nikt nie dba o to, aby ustawiać się w piątki. Nieustawieni idziemy do obozu. Po kilkunastu krokach widzimy po obu stronach lasu Ukraińców z karabinami wyciągniętymi w naszą stronę. Idziemy dalej, widzę, że jesteśmy obstawieni SS-manami z karabinami również ku nam skierowanymi. Nie mogąc ogarnąć myślą wytworzonej sytuacji słyszę głos SS-mana: „Warum wollen Sie nicht bischen laufen?"[20]. Trzeba było niestety z pół kilometra biegać. Następnie szliśmy spokojniej, mogąc się SS-manom lepiej przyjrzeć, mieli szare płaszcze i zielone kołnierze z klapami, niektórzy mówili, że są to żołnierze z Wehrmachtu. W jaki celu więc mieliby nas obstawiać, tak wielką ilością karabinów maszynowych i wojska. Nie wiedząc jak sobie wszystko tłumaczyć, szliśmy dalej w milczeniu i tak doszliśmy do wachy. Przepustek nie trzeba już było okazywać, mężczyźni jednakże musieli jeszcze czapki zdejmować. Po przejściu wachy pożegnałam męża, był on bowiem toebbensowcem. Zauważyłam koło wachy, że Hering i Walerang stali przy aucie i rozmawiali z obcymi SS-manami. Znaczyło to, iż na placu apelu nie ma nikogo. Czuję jak nogi się pode mną uginają. Po pożegnaniu męża idę z dzieckiem dalej, widzę, że Gley wybiera grupę kobiet i posyła je na plac szósty. Na placu tym znajdowało się już przeszło 100 ludzi, których pilnowali SS-mani. W pierwszej chwili, widząc, że wybierają ludzi, myśleliśmy, że może znowu na wysyłkę. Chciałam przyłączyć się do nich, ale z dzieckiem zwróciłoby to uwagę, musiałam więc zrezygnować. Widząc, że ludzie kręcą się samopas, poszłam w kierunku baraku na poszukiwanie męża. Nie mogłam go niestety znaleźć. SS-owcy zaczęli gnać wszystkich do baraku. Był to barak, w którym mieszkało przed tym 8 tysięcy ludzi, ostatnio jak stawiano nowe baraki, ludzie przeprowadzali się do nowych, oddzielnie mężczyźni i kobiety. Zamieszkany był tylko środek baraku. Po bokach natomiast zrobiono przygotowania do otworzenia szopu metalurgicznego. Przeszło 13 tysięcy ludzi wpędzono do baraku. Rozległy się krzyki i płacze, matki pogubiły dzieci, żony mężów, jeden drugiego poszukiwał, rozpacz dzieci bez matek nie miała granic. Nie wszystkie matki pozabierały dzieci ze sobą, Ukraińcy przeszukiwali bloki, zastając dzieci przysłali je na wpół ubrane do baraku. Tak też postąpiono z chorymi. SS-mani zamknęli bramę baraku, nie pozwalając zbliżać się do okna, jeden z nich strzelił w sufit, dając tym rozkaz wyprowadzenia po 50 mężczyzn. Siedziałam na pryczy w pobliżu wyjścia i tym samym widziałam wszystkich znajomych wychodzących z baraku, żegnając ich skinieniem głowy. Widząc grupkę mężczyzn rozmawiających po cichu z burmistrzem obozu Lentem, doszłam zapytać, co się stało, pewien Wiedeńczyk odpowiada mi: „wiesen Sie nicht, dass wir eine Stunde vor dem Tode stehen?"[21] Odpowiedź ta nie doszła nawet do mojej świadomości. Jak wyszło już z baraku parę tysięcy mężczyzn zauważyłam dopiero swojego męża, opowiadał mi on, że jest likwidacja obozu, mężczyzn prawdopodobnie będą gnali pieszo w niewiadomym kierunku, kobiety zaś pojadą kolejką. Byłam tak nieświadoma tego, co miało się stać, że nawet nie powtórzyłam mężowi tego, co mi Wiedeńczyk powiedział. W ogóle o tym zapomniałam. Mąż mój całkiem się załamał. Płakał jak małe dziecko, nie mógł się wcale uspokoić. Szybko wychodziły 50-tki, kobiety żegnały swoich mężów, cicho popłakując. W końcu nadeszła kolej i na mojego męża, on płakał, a ja stałam cicho i patrzałam na niego, myśląc, już drugi raz jakby odbierali mi część mojej duszy. Mąż

[20] Dlaczego nie chcecie trochę pobiegać? (niem.).

[21] Czy nie wiesz, że jesteśmy godzinę przed śmiercią (niem.).

mój nie wiedząc, że za chwilę będzie rozstrzelany, mówi do mnie, że będzie mnie szukał we wszystkich obozach, z tymi słowy wyszedł z baraku. Ostatni wyszli wszyscy Werkschutze, wkrótce po tym wyszli wszyscy mężczyźni. Mężczyzn wyprowadzono w ciągu dwóch godzin. Nadeszła kolej na kobiety. Kobiety malowały się i pudrowały, aby dobrze wyglądać, myśląc, że będzie selekcja. Komendant Werkschutzów Bauman z SS-manami ustawiali nas w 50-tki i kobiety zaczęły wychodzić. Odbywało się to dość spokojnie. SS-mani przeszukiwali dokładnie barak, szukając na pryczach, w walizkach i pościeli, nie wiem, czy szukali ludzi, czy pieniędzy, porozrzucali wszystko, pościel darli karabinami, po rewizji wewnątrz baraku wyglądało jak po pogromie. Zamierzałam wyjść w jednej z pierwszych pięćdziesiątek, aby dowiedzieć się, co się stało z mężem. Nie pozwoliła mi znajoma, mówią, iż zdążymy jeszcze wyjść, gdyż niedobrze jest być jedną z pierwszych na selekcji. Szybko wychodziły kobiety, przyszła kolej i na naszą 50-tkę. Mocno trzymając dziecko za rączkę wymaszerowałam z baraku. Po wyjściu z baraku zaczęliśmy się rozglądać słysząc strzały, ale jeszcze nic nie rozumiejąc. Zatrzymano nas na szosie przy nowych barakach, gdzie kazano nam ściągnąć buty. Mówię głośno: „kobiety, zdaje mi się, że idziemy do grobu!" W pończochach dochodzimy do drugiego baraku, gdzie usłyszałyśmy głos SS-owca: „Geld, Gold, Schmuck, Uhren abgeben, wer nicht abgibt wird erschossen"[22]. Podnoszę głowę i widzę nagie kobiety z rękoma podniesionymi do góry, obracające się w kółko, jakby pokazujące swoje kształty. Myślę sobie: „cóż to, selekcja nagich kobiet. Jestem młoda, dobrze zbudowana, ale z dzieckiem nie przejdę selekcji". Trzeba było szybko wejść do baraku i rozebrać się. Widziałam jeszcze, jak ze schodów zeskoczyła młoda kobieta, wołając do teściowej: „Mamo, do zobaczenia na tamtym świecie". W jednym z pokoi baraku stały trzy kobiety i sortowały ubrania. Błysnęła mi myśl, może również wskoczyć i zabrać się do sortowania, ale nie mogłam jednakże dziecka zostawić. Mając przy sobie parę tysięcy złotych owinęłam je w chusteczkę i schowałam, mówiąc do znajomej, że pójdę z pieniędzmi do grobu. Obrączkę i pierścionek musiałam oddać, bo nosiłam na palcu. Drugi natomiast pierścionek wpięłam spinką we włosy. Rozebrałyśmy się dość szybko i z rękoma podniesionymi do góry poszłyśmy w kierunku wykopanych przez nas rowów. Groby 2-u metrowej głębokości były już pełne nagich trupów. Sąsiadka moja z osiedla, z 16-o letnią swoją córką, śliczną, jasnowłosą dziewczynką, o niewinnej i lekko uśmiechniętej twarzyczce, szukały jakby wygodnego miejsca. W chwili gdyśmy nadeszły SS-man nabijał rewolwer, lub może mu się zaciął, gdyż przy nim majstrował. Spojrzałam w jego stronę, a on mówi do nas: „Nicht so schnell"[23], mimo to położyłyśmy się szybko, aby nie patrzeć na trupy. Mała moja prosiła, żeby jej zasłonić oczka, bo się boi, więc lewą ręką objęłam jej główkę, zasłaniając jej oczka, a prawą ręką trzymałam jej prawą rączkę i tak położyłyśmy się twarzą w dół. Po chwili padły strzały w naszym kierunku, czując jak zapiekła mnie lewa ręka i kula przeszła dalej w główkę mojej 10-letniej córki, która nawet nie drgnęła. Słyszę drugi huk w pobliżu mnie, aż mnie zatrzęsło, mam straszny szum w głowie, nie wiem, czy na chwilę straciłam przytomność, słyszę charczenie mojej znajomej. Po chwili ucichło ono. Zdaję sobie sprawę, iż jednak jeszcze żyję i czekam dalej na kulę, ale nie daję znaku życia. Po kilkunastu minutach SS-man przyprowadza kobietę i dziecko, słyszę jak ona prosi, że chce dziecko swoje pocałować, ale oprawca jej nie pozwolił, położyła się przy mnie z prawej strony, opierając swoją głowę o moją. Padł strzał i krew jej bluznęła na moją głowę, oblewając mi kark i włosy, z tyłu prawdopodobnie wyglądałam jak trup. Jeszcze jakiś czas słyszałam strzelaninę, aż wszystko ucichło. A więc żyję, nie jestem jednak w stanie myśleć, co dalej. Po godzinie słyszę głos SS-manów, jeden postawił mi nogę na plecach, w ten sposób strzela i mówi głośno: „Die Blonde, die Schwarze"[24]. Zrozumiałam, że przyszedł sprawdzić, czy jeszcze ktoś żyje. Były zapewne ranne, bo słyszałam jęki, a po tych strzałach

[22] Oddawać pieniądze, złoto, biżuterię, zegarki. Kto nie odda, zostanie rozstrzelany (niem.).

[23] Nie tak szybko (niem.).

[24] Blondynka, brunetka (niem.).

wszystko ucichło. SS-mani odjechali, a ja od razu nie miałam odwagi głowę unieść. Febra mnie trzęsła z zimna. Trupy były już zimne, w rannych godzinach zaś nagie ciała jeszcze grzały. Wicher potrząsał trupami, jakby odmawiając po nas „kadysz". Parę razy przychodzili Ukraińcy, słyszałam jak głośno pluli na nas mówiąc: „job twoja żydów" i znowu odeszli. Godziny wlokły się leniwie, każda godzina zdawała się wiekiem. Kiedy zaczęło się ściemniać Ukraińcy przyszli jeszcze raz i zakryli nas choiną, przemknęła mi myśl, że prawdopodobnie będą nas palić. Przerażona chciałam wołać, iż jestem jeszcze żywa, ale nie mogłam głosu z siebie wydobyć. Słyszałam oddalające się kroki, wtedy dopiero odważyłam się unieść głowę, liście gałęzi zasłaniały mnie i mogłam już trochę się rozejrzeć. Panował już półmrok. Pierwsze moje spojrzenie padło na córkę, zwykle miała podłużną buzię, teraz twarzyczka jej się zaokrągliła i oblekła śmiertelną bladością, ustami dotykałam jej włosów i plecków, rączka jej wyślizgnęła się z mojej ręki. Spojrzałam na swoją lewą rękę, bo mi dokuczała, zauważyłam 2-ie dziury i całą oblaną krwią. Położyłam głowę z powrotem, gdyż byłam bardzo zmęczona. Mimo zmęczenia i szumu w głowie, pojawiło się w mojej głowie pytanie, co z sobą zrobić? Okolicy nie znałam, dokładnie nie wiedziałam, gdzie jestem, myślałam, że jeśli zdołam uciec, to w kierunku lasu, ale jestem przecież naga. Leżałyśmy niedaleko szosy, prowadzącej na osiedle. Może iść na osiedle i ubrać się? Aby się tam dostać trzeba było przejść niedaleko wachy, brama ta była oświetlona, a na osiedle ze 2 km. W tym momencie widzę dwóch Ukraińców z kierunku osiedla, szli szybko, jakby bali się trupów. Plan mój był nie do wykonania. Leżę dalej zadając sobie pytanie, w jakim celu kula mnie ominęła, dlaczego nie dałam znać, że żyję? Nie mam żadnych możliwości uratowania się, choćby dlatego, że jestem naga. Stale patrzyłam w kierunku baraku dla Ukraińców i hotelu – okna były mocno oświetlone. Widzę zdaje się wyraźnie, nie wiem, czy to zjawa, czy kobieta naga, lecąca właśnie w kierunku bramy, którą ja uważałam za nie do przebycia. Nie wiem, czy przeszła bramę, czy uratowała się, nie mogłam dojrzeć z daleka. Uwagę moją od nagiej kobiety odwróciły krzyki pochodzące ze strony baraku czy hotelu, nie wiem dokładnie. Dochodziły straszne krzyki kobiet: „ratunku, ratunku!", powtarzające się parę razy. Myślałam jeszcze, iż byłoby lepiej, aby je zabito tak jak nas, w końcu krzyki ustały. Nagle słyszę z grobu dochodzący głos: „mamusiu, mamusiu!" i jeszcze jakieś słowa, nie mogłam zrozumieć jakie, gdyż zagłuszał je szalony wicher. Chciałam już zapytać, kto żyje, ale bałam się. Ciemniło się zupełnie, była już zapewne godzina 7-a, a może później, gdy zauważyłam, że po stronie wachy wybuchł nagle szalony pożar. Łuna szła w kierunku baraków, gdzie leżały nasze ubrania. Dowiedziałam się później, że tam się broniła grupa młodych ludzi. Widząc pożar byłam przerażona. Myślałam, że palą trupy, a dać się żywcem spalić byłoby straszne. W śmiertelnym strachu pogłaskałam plecki swojej córeczki, pocałować się bałam, przeraŜały mnie nagie pokrwawione ciała, zrzuciłam z siebie choinę, przerzuciłam się przez zwał trupów i pobiegłam w kierunku lasu. Po kilkunastu krokach na czworakach spotkałam dwie nagie kobiety, przyłączyłam się do nich, nie wiedząc co robię dotykałam je ręką i pytałam, czy żyją. One odpowiadają, że żyją, a ja niedowierzająco zaczęłam je głaskać. Nie można było tutaj długo zatrzymywać się ze względu na bliskość miejsca wypadku. Uradziłyśmy, iż pójdziemy w stronę Młynek, była to najbliższa wioska. Przypomniałam sobie, że mam parę tysięcy złotych, więc mówię moim towarzyszkom niedoli, „nie martwcie się, że jesteście nagie, mam pieniądze i będziemy mogły się ubrać". One uradowały się pytając, w jaki sposób je uratowałam, pokazałam im, iż papierowe pieniądze nietrudno było schować. Nie wolno było tracić czasu i szybko wpadłyśmy na czworakach do pierwszej chałupy. Mieszkali tam w jednej izdebce dziad z babą. Boże, jak tam ciepło było. Starzy przestraszyli się nas, przeżegnali się widząc trzy nagie kobiety. Starowina rzuciła nam stare podarte spodnie, podartą sukienkę i zaczęła nas wyganiać, bojąc się, iż sprowadzimy jej Ukraińców. Doleciałam do kuchni, chcąc się trochę ogrzać, ale baba nie dała, trzeba było opuścić mieszkanie. Jedna z towarzyszek moich zerwała jakąś starą zasłonę i owinęła się nią. Wychodząc z miesz-

kania zerwałam kawałek tejże zasłony i zakryłam się trochę. Wpadłyśmy do innej chałupy, prosiłyśmy o ciepłą wodę, aby się trochę obmyć, byłyśmy całkiem umaczane we krwi. Podali nam wodę, bluzę dla mnie, bo byłam jeszcze naga, każdej po kawałku chleba i znowu trzeba było iść dalej. Wstąpiliśmy jeszcze do jednej chałupy, jakaś młoda dziewczyna rzuciła nam płócienną spódnicę i kazała szybko opuścić mieszkanie. Postanowiłyśmy już dzisiaj nie wchodzić do chałup. Późno już było i zaczęłyśmy się rozglądać za stogiem słomy, aby się ukryć. Niedaleko stał stóg słomy, wdrapałyśmy się na górę, zakrywając się całkowicie. Wiatr przewiewał, słoma wcale nie grzała. Było już widno, kiedy usłyszałyśmy, jak chłop kręcił się koło słomy, kobieta wyszła z chałupy dając kurom jeść, musiało być nie wcześnie. Towarzyszka moja imieniem Rózia nie zastanawiając się długo wyskoczyła z nory i weszła do chałupy, prosząc o jakieś ubranie, wyrzucono ją oczywiście razem z nami ze słomy, biegła tak szybko, żeśmy ją straciły z oczu. Szłyśmy same, obrałyśmy złą drogę. Teren bagnisty, brodzimy w błocie do kolan i szczęśliwie dotarłyśmy na koniec tejże wioski. Zatrzymuje nas jakaś kobieta i zapytuje: „która z was ma pieniądze, niech idzie ze mną". Bałam się przyznać, ale jak powiedziała, że 3-cia koleżanka jest u niej w mieszkaniu, poszłam więc za nią. Rózia umówiła się z nią, że zostaniemy u niej 2 dni i że ona przyniesie nam ubranie. Dała nam stare, letnie palto, ubrała je Tusia (była to druga moja towarzyszka), dałam tej kobiecie 1000 zł, za co miała nam jeszcze jakieś palto przynieść, była z nią znajoma, która wyszła i wróciła mówiąc, iż musimy już opuścić mieszkanie, bo wszyscy sąsiedzi widzieli, jak żeśmy wchodziły. Wybiegłyśmy naturalnie szybko, zostawiając te 1000 zł za łach. Poszłyśmy dalej, idąc w kierunku wsi Poniatowa, tutaj zaś w ogóle nie chciano nas wpuścić, musiałyśmy iść do lasu. W lasach były kupy liści z chrustem, które chłopi zbierają do palenia, a że było nam zimno, nie zastanawiając się długo, mając kawałek chleba, wpakowałyśmy się do liści, nakrywając się całkowicie, aby nas nikt nie zauważył. Zostałyśmy w liściach do rana. Rano słysząc głosy wysadziłyśmy głowy, widzimy jakiegoś chłopa z chłopką, postanowiłyśmy dojść do nich. Okazało się, iż jest to porządny chłop, który zgodził się przynieść jakieś łachy i gorącego mleka. Nie trwało długo i rzeczywiście przyniósł, lecz dosłownie łachy i podarte kapcie, oraz garnek gorącego mleka i chleb. Zabrałyśmy się przede wszystkim do mleka, aby się trochę ogrzać. Moje towarzyszki ubrały się w te łachy, ja zaś niestety nie mogłam się ubrać, ze względu na rękę. Nosiłam bluzę męską, rękaw mi się stale przyklejał do rany, musiałam coraz odrywać, ręka puchła i bolała. Obdartą marynarkę zarzuciłam na siebie, zawinęłam nogi w szmaty i wsadziłam je w podarte męskie kapcie. Zapłaciłam dość słono, będąc wdzięczna za to, że je nam przyniósł. Poszłyśmy tego dnia dalej, trzeba się było bowiem jak najdalej oddalić od obozu. Byłyśmy jeszcze na jakiejś wiosce, skąd nas wygonili, bośmy zwracały uwagę naszym ubiorem i strasznym wyglądem, nasze twarze były pełne bólu. Wyszukałyśmy sobie znowu słomę i skryłyśmy się na noc. Rano poszłyśmy znowu na wieś. Tusia chodziła jeszcze boso, trzeba było dla niej jakieś kapcie wytrzasnąć i napić się gorącej kawy. Chodziłyśmy do chałup najbiedniejszych, żeby za pieniądze móc posiedzieć parę godzin. Tusia kupiła sobie kapcie i podarte pończochy dla nas wszystkich. Rózia jeszcze kupiła chustkę, aby przykryć łachy, które nosiłam i po małej aferze, chłopka nie miała pieniędzy, aby nam dać resztę, zastraszyli nas i musiałyśmy szybko opuścić chałupę. Postanowiłyśmy nie zatrzymywać się na każdej wiosce, aby szybciej iść w kierunku Warszawy. Przekonałyśmy się, iż żaden chłop nie zgodziłby się za żadne pieniądze zatrzymać nas u siebie ze względu na Ukraińców. Zatrzymałyśmy się dopiero w Kowalach. Widząc, że przy wejściu do wioski znajduje się sklep, a przed nim sklepikarka, wzięła ode mnie Rózia 500 zł i doszła do niej, ta przyniosła nam chleba, kiełbasy, obiecując, że schowa nas do stodoły i będziemy mogły kilka dni pozostać, a może i dłużej jeszcze. Jak już zaznaczyłam, zwracałyśmy uwagę naszym ubiorem i wyglądem i dzieciaki zaczęły nas gonić, rozleciałyśmy więc [się] w różne strony. Tusię odnalazłam. Chcąc się ukryć przed dzieciakami usiadłyśmy przed stogiem słomy nie dążąc schować się do środka. Wykryły nas niesteo-

ty dzieciaki, a wkrótce i starsi obstąpili nas. Straszyli, że zaprowadzą nas do sołtysa albo do żandarmów. Prosiłam, aby pozwolili nam odejść, błagałam, płakałam, w końcu zrewidowali nas dokładnie, nawet ginekologicznie i tu właśnie miałam ukryte pieniądze, których na szczęście nie znaleźli. Uprosiłam ich, aby pozwolili nam tutaj przesiedzieć przez noc i przykryć się słomą, bo deszcz padał. Pozwolili i myślałam, że już na tym koniec. Po kilkunastu minutach jednakże znowu dwóch chłopów przyszło, kazali nam wstać, mówiąc, że nas zaprowadzą gdzieś, gdzie znajdziemy lepsze miejsce, nie chcieli powiedzieć dokąd. Poszłyśmy kawał drogi z nimi, w końcu uprosiłam ich, że pójdziemy same. Zgodzili się i odeszli. Gdy poszli usiadłyśmy chcąc zaczekać dopóki będą daleko od nas. Coraz większy deszcz padał. Tusia chciała iść we wskazanym przez nich kierunku, ja zaś postanowiłam tam nie iść. Po kilkunastu minutach słyszymy, że pies szczeka, ci sami chłopi nadchodzą, dochodzą do nas, dają nam chleba i każą pójść za nimi, nie było rady, musiałyśmy iść. Wyprowadzili nas z wioski tylną drogą, wskazując ścieżkę, którą miałyśmy iść dalej. Pytam, jak się ta wioska nazywa, do której mamy iść. Nie chcieli nam powiedzieć. Instynktownie czułam, iż nie powinnyśmy iść we wskazanym przez nich kierunku i dobrze zrobiłam, że nie poszłam, była to droga prowadząca do obozu, o czym się dowiedziałam później. Zostawili nas same. Usiadłyśmy więc czekając, aż ucichną kroki i światła pogasną w całej wiosce. Deszcz wzmagał się, wicher szalał i zmokłyśmy do nitki, przytuliłyśmy się do siebie, myśląc, że tak będzie cieplej, siedziałyśmy tak pewnie ze trzy godziny. Gdy wszystko ucichło zdecydowałyśmy się pójść z powrotem na wieś. Po ciemku szukałyśmy słomy, której w pobliżu nie było. Znalazłyśmy tylko koniczynę przykrytą słomą. Usiadłyśmy więc przykrywając się cienką warstwą mokrej słomy. Dopiero nad ranem, gdy zaczęło świtać poszukałyśmy wygodniejszego miejsca. Była to niedziele i nie chciałyśmy wędrować, bojąc się chłopów. Wyszłyśmy więc z naszej kryjówki dopiero w poniedziałek rano. O szukaniu Rózi nie było już mowy i nie spotkałyśmy się z nią więcej. W poniedziałek rano przyszłyśmy do wioski Huty. Widząc maleńką, niziutką chałupę, weszłyśmy do izby, w której była tylko mała 11-letnia dziewczynka, układająca liście tytoniowe. Spytałam się, czy by się nie bała, gdybyśmy zostały z nią w izbie i czy matka nie będzie się gniewała, jeżeli nas tutaj zastanie. Na wszystko odpowiedziała twierdząco. Po jakiejś godzinie nadeszła matka i babka. Nie gniewały się jakoś; przeprosiłam za najście, kobiety te domyśliły się, kim jesteśmy, zaproponowałam jej pieniądze, aby nas ukryła na parę dni, gdyż mamy opuchnięte nogi i całe w ranach. Zgodziła się, ale syn jej 13-o letni szczeniak nie chciał się zgodzić. Musiałyśmy opuścić izbę i po ciemku szukać schronienia. Rano wyszłyśmy ze słomy i poszłyśmy do lasu, w liściach było cieplej leżeć i tam znowu spędziłyśmy cały dzień. Wieczorem, gdy było już bardzo ciemno wróciłyśmy do tej chłopki, dając jej pieniądze, aby kupiła nam drewniaki, również dla mnie pończochy, spódniczkę i chustkę na głowę i aby nam ugotowała kartofli z mlekiem, bo dwa dni nie jadłyśmy nic ciepłego. Po to wszystko miałyśmy wrócić nazajutrz wieczorem, tj. w środę. I znowu jeden dzień w liściach, na szczęście okazała się uczciwą chłopką i zakupiła nam wszystko. Ukryłyśmy się, zjadły, ubrały i znowu do lasu do liści. Rana moja tymczasem rozszerzała się z każdym dniem i ręka spuchła aż po czubki palców, miałam stale febrę. Myślałam, że mam zakażenie, gdyż nie zmyłam rany, nie miałam zresztą czym i nie miałam czystego gałganka, aby ranę obwiązać. Postanowiłam w czwartek rano iść do Kazimierza do lekarza, chociaż było to niebezpieczne ze względu na placówkę, którą rozstrzelano w piątek 5 listopada. Byłam jednak zdecydowana, bo ręce mojej konieczna była pomoc lekarska. Gdyby zaszła potrzeba amputacji ręki otrułabym się z pewnością, bo zostać samą jedną kaleką już na prawdę nie miałoby celu. Byłyśmy blisko Kazimierza, gdy nadjechał samochód, mimo woli cofnęłyśmy się, skręcając z drogi i weszłyśmy do chałupy. Opowiadając bajkę, iż jesteśmy wysiedlone ze Wschodu, zostałam ranna i muszę iść do lekarza do Kazimierza. Chłopka zrozumiała, iż z nami nie wszystko w porządku i nie radziła iść w kierunku Kazimierza, gdyż legitymują przy wejściu. Mówiła nam, że lepiej będzie iść

na Męcznierz. Są tam rybacy, którzy na pewno przeprawią nas na druga stronę Wisły. Zrezygnowałam z pójścia do lekarza i nie myśląc w ogóle o niczym, zrezygnowane podjęłyśmy naszą wędrówkę na nowo. Po drodze spotkałyśmy kilka kobiet idących z koszykami, jakby szły na jarmark, zagadnęłam jedną, czy nie sprzedałaby mi chustki, bo mi zimno, odpowiedziała, że nie. Druga natomiast odezwała się: „powiedzcie to kobiety, skąd idziecie? nie bójcie się opowiadajcie, skąd jesteście?". Dodając, że „gdyby tu była moja siostra, to by się wami zapewne zainteresowała". Słysząc te słowa opowiedziałyśmy jej wszystko. Złapałam ją za rękę pytając o siostrę. Okazało się, że siostra jest w Kazimierzu w kościele i prawdopodobnie niedługo nadejdzie. Po wielkich błaganiach kobieta ta została z nami czekając na siostrę. Wkrótce nadeszła upragniona siostra. Widząc nas rozpłakała się, opowiadając, że we czwartek, właśnie na ten nieszczęsny dzień umówiła się ze swoją wychowanicą, którą chciała zabrać z mężem i dzieckiem. Poszła w czwartek na osiedle, doszła jak zwykle do drutów, słyszała już tylko strzelaninę. Na osiedlu jakby wszystko zamarło, wiatr tylko potrząsał drzewami. Wobec tego, mając tamtych na sumieniu, chce nas ratować, zabierze nas do Warszawy. Spytała, czy mamy trochę pieniędzy na podróż? Odpowiedziałam, że mam jeszcze na podróż. Kazała nam zostać w lesie, gdyż nie może nas w jasny dzień zabrać do domu ze względu na sąsiadów, później przyniesie nam gorącej zupy. Tymczasem miałyśmy pójść do dołu, który się ciągnął przez całą szerokość lasu. Poszłyśmy do wskazanego przez nią dołu zbierając chrust, aby nie zwrócić na siebie uwagi. Zmęczone usiadłyśmy, aby odpocząć. W tej chwili nadszedł młody chłop do dołu, aby zbierać liście. Widząc go nachyliłyśmy się gwałtownie, aby dalej zbierać chrust. Chcąc wybadać, czy jest nieszkodliwy zagadnęłam go, zaczynając od pogody, był piękny słoneczny dzień, na słońcu nawet dość ciepło. Chłop ten zorientował się, iż jesteśmy Żydówkami, widział przede wszystkim, że jesteśmy obce, a na wsi jeden drugiego dobrze zna. Powiedział nam najsampierw, abyśmy się nie obawiały, nic złego nam nie zrobi, postara się nam jeszcze pomóc. Opowiadał, iż ukrywali jakiegoś Abramka z Kazimierza przez długi czas, nie wie, gdzie ostatnio się podział. Opowiadał nam, iż zna miejską, która przewoziła już parę razy Żydów z obozu do Warszawy. On nas weźmie na noc do siebie i skomunikuje z ... Po określeniu nam Marii, zorientowałyśmy się, że jest to ta sama kobieta z którą myśmy się umówiły. W międzyczasie przyszła siostra tego chłopa, zabrała chrust, prosił on ją, aby zawiadomiła żonę, iż przyprowadzi 2 Żydówki. Przed wieczorem przyszła Maria z gorącą zupą, widząc, że rozmawiamy z tym chłopem prosiła jego, aby nas wziął do siebie na noc, bo u niej w mieszkaniu jest bardzo ciasno. Odpowiedział jej na to, iż właśnie tak postanowił. Nie wiedział tylko, iż my znamy ją. Przez cały czas bałam się przyznać, żeśmy się z nią umówiły. Gdy było już ciemno zabrał nas do siebie. Mieszkał w jednej maleńkiej izbie, miał żonę i dwoje małych dzieci i mimo to trzymał nas przez dwa dni. Rodzinie tego chłopa trzeba było opowiedzieć historię uratowania się. Byłyśmy zmartwione, iż nie wiemy właściwie co z sobą zrobimy w Warszawie. Pieniędzy nie mamy już, kennkart nie mamy, ani znajomych. Jesteśmy jednym słowem w sytuacji nie do pozazdroszczenia. Stefan uspokajał, opowiadając nam, iż na pewno bogaci Żydzi nam pomogą, wie, iż jest jakaś pomoc dla biednych. miałam się oczywiście z jego słów, nie wiedząc oczywiście, że egzystuje pomoc dla nas nieszczęśliwych. W sobotę przyjechali żandarmi po kontyngent, wobec tego trzeba było szybko opuścić wieś. Pani ... przyniosła nam ubranie, pomogła ubrać się i poszłyśmy do Kazimierza, wstępując najpierw do lekarza. Lekarzowi również musiałam opowiedzieć bajkę, iż był u nas napad bandy, wymieniłam jakąś wioskę i przypadkowo wyszłam z izby i zostałam postrzelona. Lekarz opatrzył mi ranę i kazał codziennie do siebie przychodzić, bo rana jest bardzo zaniedbana, a ręka gniła z zastraszającą szybkością. Pani ... załatwiwszy jeszcze parę spraw, kupiła nam chleba i kiełbasy, zaprowadziła nas do swoich znajomych, tam zjadłyśmy, a następnie dorożką pojechałyśmy do Puław do pociągu. W pociągu miałyśmy jeszcze małą przygodę, mianowicie: Tusia trzymała koszyk pani ... Żandarmi szukając szmuglu doszli do niej,

przeszukując koszyk, ona zatraciła się, zrobiła się strasznie niespokojna. Cywil, który był z żandarmem zaświecił jej w oczy i powiedział: „Jaka podobna do Żydówki". Ona odwróciła twarz i jakoś szczęśliwie wszystko przeszło. Bez przygód już przybyłyśmy do Warszawy.

W Archiwum Żydowskiego Instytutu Historycznego w zespole „Relacje uratowanych Żydów" udało mi się odnaleźć pod nr. 1013 wywiad z towarzyszką Ludwiki – Tusią, czyli Esterą Rubinsztejn, urodzoną w 1913 roku w Warszawie. Wywiad przeprowadzony przez pracownicę Żydowskiej Komisji Historycznej Klarę Mirską spisano w Łodzi 15 listopada 1945 roku, liczy 33 strony rękopisu. Klara Mirska zanotowała na jego końcu: „Jeszcze teraz świadek przeżywa wiele, gdy opowiada o swoich przejściach. Poznać, że je te opowieści męczą, że są to wszystko prawdziwe przeżycia, które do dziś dnia wywołują wstrząs". Jestem także w posiadaniu drugiej relacji Estery, po mężu Winderbaum, spisanej w 1964 roku i zdeponowanej w Archiwum Yad Vashem (03/2344)[25].

Zestawienie i porównanie dwóch pierwszych relacji, spisanych prawie dokładnie w odstępie dwóch lat, pozwala na sformułowanie kilku ostrożnych obserwacji, dotyczących natury świadectw złożonych przez osoby, które przeżyły Holokaust. Drugą relację z Yad Vashem wykorzystuję jedynie w przypisach, by wskazać jak dalej ewoluowała pamięć Estery o jej najtragiczniejszych przeżyciach.

Fakt istnienia samodzielnie sporządzonych relacji osób wspólnie przeżywających niebywałe, wręcz niewyobrażalne dla przeciętnego człowieka wydarzenia, stawia historyka Zagłady w wyjątkowej sytuacji. Po pierwsze dostajemy bardzo ważny dowód potwierdzający nie tylko prawdomówność uratowanych z Zagłady, lecz nawet sugestię, że wiele dramatycznych szczegółów dotyczących ich częściej złych niż dobrych kontaktów ze świadkami ich tragedii bardzo szybko spychali w niepamięć. Jest to szalenie ważne w kontekście niedawnej dyskusji o naturze tych świadectw, która rozgorzała po opublikowaniu przez Jana T. Grossa *Sąsiadów*. Gross sugerował, żeby relacjom uratowanych Żydów (surviverów) najpierw zaufać i dopiero później w dobrej wierze korygować pewne nieścisłości w ich opowieściach. W tle był jednak sąd bardziej radykalny, bezpośrednio dotyczący okupacyjnych stosunków polsko-żydowskich. W pewnym uproszczeniu można go sprowadzić do opinii, że jeżeli aż tak dużo złego te relacje o tych stosunkach przekazują, to w rzeczywistości tego złego musiało być jeszcze dużo więcej. W sposób ostrożny przychylam się do tej opinii i myślę, że prezentowany w tym tekście materiał historyczny ten pogląd uzasadnia. Zło w czasie wojny ujawniało się częściej, niż dziś byśmy sobie życzyli, miało też znacznie więcej odmian niż czasami przebijające się na powierzchnię dobro. Rzadko jednak ktoś, kto ze złem osobiście się zetknął, w przypadku ukrywających się Żydów niewielu to spotkanie przeżyło, zastanawiał się nad powodami kierującymi złymi ludźmi. My, głównie historycy, dziś zbyt często wpadamy w pułapkę wyjaśniania za wszelką cenę tych przyczyn. W tym celu zwykle kontekstualizujemy wypowiedzi oskarżycieli, niedostrzegających jak głęboki wpływ na reakcje Polaków miała ideologia, w tym przypadku głównie antysemityzm i ksenofobia narodowa. Staramy się za wszelką cenę wykazać, jak wiele świadkowie Holokaustu ryzykowali, podejmując choćby najmniejszą próbę pomocy, przypominamy nieustannie te 700–1000 polskich ofiar niemieckiego terroru za pomoc okazaną Żydom. Niektórzy historycy piszą wręcz o bandyceniu się grup, złożonych z uciekinierów z gett i z łagrów dla jeńców sowieckich, dodają też, że obowiązkiem polskich partyzantów była przede wszystkim obrona swoich krajan, że narażanie się poprzez działalność w konspiracji zwalniało od podejmowania innych ryzykownych działań, gdyż niepotrzebnie ku-

[25] Za jej udostępnienie dziękuję Barbarze Engelking-Boni.

mulowano ryzyko wykrycia przez okupanta. W nawale tego typu argumentów ginie gdzieś oczywista obserwacja źródłowa, że po prostu było bardzo dużo złych Polaków, złych ludzi.

Niemniej jednak zestawienie podanych przeze mnie tekstów wskazuje na repizodyczną naturę pamięci[26] osób z takimi doświadczeniami, jak obie uciekinierki z mogił Poniatowa – w obu tekstach zachowana została identyczna struktura opowieści, dominuje bardzo szczegółowy, wręcz obrazowy opis egzekucji i mocno zapamiętany późniejszy silny lęk przed napotykanymi w czasie ucieczki Polakami. U Rubinstein ta nieufność widoczna jest także w stosunku do gospodarzy mieszkań, w których do powstania warszawskiego obie uciekinierki się ukrywały. Zarówno w opisie ucieczki, jak i późniejszego ukrywania się nie ma prawie mowy o Niemcach czy Ukraińcach i o tym, że to właśnie z ich strony groziła im śmierć. W tym czasie liczyli się tylko okoliczni Polacy – mogący wezwać żandarmów chłopi, polujący na „koty" po stronie aryjskiej szmalcownicy, dający upust swoim fobiom pijacy i inna hołota. W tym kontekście Maria Maciąg, która je *de facto* uratowała, nie jest przeciętną, pobożną, szlachetną Polką, jest aniołem, którego związki z otoczeniem są wręcz przypadkowe. W Warszawie też nie Polacy pomagają uciekinierkom, lecz „organizacja", z której członków zapamiętano jedynie dr. Adolfa Bermana.

Oczywiście Fiszerowa opowiada o swojej ucieczce znacznie dokładniej, pamięć jej była świeższa, rozróżniała jeszcze kolejne zagrożenia, napotykane w kolejnych wsiach, spotykani chłopi różnili się jeszcze między sobą fizycznie, inaczej wyrażali swoje zaskoczenie widokiem uciekinierek. Można dzięki tej opowieści na chwilę zatrzymać kadr, w którym zaskoczenie świadków widokiem obu kobiet zmienia się w ich decyzję jak się odnieść do samego faktu spotkania i do bezbronnych osób. Raz górę bierze lęk, innym razem współczucie, jeszcze innym wyrachowanie i niechęć. Tego typu zapis jest niezmiernie rzadki nawet w tużpowojennych relacjach uratowanych Żydów, zwykle obraz jest w nich zbyt skrótowy, by rozpoznać, co naprawdę myśleli świadkowie Zagłady. Zaś w spisanych wiele lat po wojnie wspomnieniach charakterystyki świadków, tak jak i dialogi między dwiema stronami, to zawsze fikcja literacka. W naszym przypadku widzimy, co już po dwóch latach umknęło z pamięci, obarczonej tak wielką traumą, świadomej ogromu osobistej i społecznej katastrofy. Nawet trzecia towarzyszka ucieczki wymknęła się pamięci, te, które przeżyły, nie mogły jej pomóc, więc została zepchnięta w niepamięć. Estera przypomina sobie imię Ludwiki dopiero po wyraźnym pytaniu osoby prowadzącej z nią wywiad, nie pamięta też, że ta nazywała ją pieszczotliwie Tusią. Może to z lęku i wyrzutów sumienia, że Ludwika wojny prawdopodobnie nie przeżyła, że w historii jej życia łańcuch cudownych przypadków został nagle przerwany. Pamięć ta wróciła w latach 60. W nieznany mi sposób obie panie nawiązały kontakt na tyle ścisły, że do swojej relacji Estera dołączyła odpis podanej przeze mnie relacji Ludwiki Fiszerowej (Fischer). Oto co opowiedziała na jej temat: „Moja niespodziewana towarzyszka była ranna w rękę. Opowiedziała mi, że ta sama kula, która zraniła ją w rękę, zabiła jej 12-letnią córeczkę. Tak jak i ja, straciła najpierw przytomność, a gdy ją odzyskała, oprawcy byli już daleko, a ona znalazła się w masowym grobie obok swej nieżywej córki. Dowiedziałam się później od niej, że nazywa się Ludka Fischer i miała przed wojną fryzjernię w Warszawie. Obecnie Ludka przebywa w Ameryce, wyszła powtórnie za mąż i nazywa się Chanesman"[27].

[26] Antoni Sułek w recenzji z książki Jana T. Grossa („*Sąsiedzi" – zwykła recenzja*, „Więź" 2001, nr 12, s. 72–99) zauważył, że pamięć retrospektywna zależy w dużym stopniu od zmieniających się schematów wyobraźni zbiorowej, organizujących ludzką pamięć. Innymi słowy, ludzka pamięć nie jest mechanicznym zapisem wydarzeń, lecz konstrukcją zbudowaną z własnych przeżyć, własnych wyobrażeń tych przeżyć i relacji o nich innych osób. Poza tym „pamięć biograficzna ma charakter repizodyczny: zachowuje się w niej wypracowana przez umysł istota rzeczy, a nieistotne szczegóły przemieszczają się na inne sytuacje i osoby, np. na innych oprawców".

[27] Relacja z Yad Vashem.

O Esterze wiemy znacznie więcej niż o Ludwice. Duża w tym zasługa Klary Mirskiej, która przeprowadziła z nią wywiad, czego efektem jest cytowana relacja. Urodziła się w 1917 roku w Warszawie, swój zawód określiła jako laborantka, choć z relacji wynika, że była doświadczoną krawcową. Do kwietnia 1943 roku siedem miesięcy pracowała z mężem, dwoma braćmi i co najmniej jedną bratową w szopie kuśnierskim Fritza Schultza na Nowolipiu (pod nr. 44 mieścił się główny zakład, drugi przy Nowolipie 80, trzeci przy Pawiej 38), działającym już od września 1941 roku. Mieszkali przy tej ulicy pod nr. 25, w czasie powstania w zamaskowanym bunkrze. Z getta wyszli (poza drugim bratem i jego żoną) w trakcie tak zwanej trzeciej amnestii (Niemcy przez pracowników szopu ogłosili, że ci, którzy wyjdą dobrowolnie, pojadą do obozów pracy) koło 28 kwietnia. Po selekcji na Umschlagplatzu zostali wywiezieni w bydlęcych, do granic załoczonych wagonach, *via* Lublin, Nałęczów i kolejne selekcje, do Poniatowej. Tu Estera pracowała przez siedem miesięcy w koszykarni, a jej mąż w przędzalni. Podobnie jak Ludwika, wspomina głównych oprawców Gleya i Heringa, nieludzkie warunki pracy, życie w baraku – hali fabrycznej i na „osiedlu", pracę na placówkach. Niewiele osób z obozu uciekło bądź wydostało się w inny sposób. Jedynie „grupa artystów, która za grube pieniądze wydostała się do Hannoveru, przedtem wzięli ich do Warszawy na ul. Długą". Także: „niektórzy uciekli na wieś, ale tam były bandy nie mające nic wspólnego z partyzantami i ludzie musieli wracać, bo nie mieli innej rady". Opis egzekucji sporządzony przez Esterę pokrywa się na tyle z opisem Ludwiki, że zrezygnowałem z jego cytowania. Zacznę od tego, jak wydostała się z grobu: „Nagle obudziłam się i ciężko wydobywając głowę podniosłam ją, nie wiedząc gdzie się znajduję. Zobaczyłam duży pożar. W tym momencie przypomniałam sobie opowiadanie brata o tym, że Niemcy palą ludzi żywcem. Nie chcąc być spalona żywcem, natężyłam wszystkie siły, by stanąć, ale nie mogłam. Nie mając innej rady zaczęłam się czołgać na brzuchu po trupach i wydostałam się przez pole do lasu. W lesie natknęłam się na nagą kobietę, również taką jak ja. Spojrzałyśmy na siebie i w milczeniu czołgałyśmy się dalej, wpadłyśmy do wody, ale wydostałyśmy się i tak dociągnęłyśmy się do pierwszej chałupy. Niestety żadnej pomocy nam nie udzielono. Chłop widząc nagie kobiety krzyknął: »O Jezu, Maria duchy przyszły nas dusić«[28]. Uciekłyśmy do następnej chałupy. Powtórzyło się to samo. Byłyśmy strasznie zmartwione, musiałyśmy dostać jakąś szmatę do przykrycia nagiego ciała. Tak wędrowałyśmy lasem aż do rana. Postanowiłyśmy przy wejściu do jakiejś chaty skraść coś, gdyż nago nie mogłyśmy chodzić. Rano weszłyśmy do jakiejś chałupy, gwałtem ściągnęłyśmy z kufra obrus i tym okryłyśmy się[29]. Idąc dalej lasem zauważyłyśmy kupę liści, ulokowałyśmy się w środku. Zakryłyśmy się liśćmi i tak leżałyśmy cały dzień. Nad ranem udałyśmy się na poszukiwanie żywności. Po drodze do wsi napadli na nas chuligani, zaciągnęli nas pod stodołę, strasząc nas, że jeżeli dobrowolnie nie oddamy pieniędzy, to nas zastrzelą. Rozumowali, że jeżeli wydostałyśmy się z obozu, to na pewno mamy pieniądze. Nic nie pomogły nasze prośby, zatrzymali nas na całą dobę w stodole, znęcali się nad nami w okropny sposób, dokonali rewizji ginekologicznej[30]. Widząc, że nic nie mamy dopiero nad ranem nas puścili, kierując nas w stronę obozu. Zmuszone byłyśmy iść w tym kierunku, gdyż chodzili za nami. Wtem straszna ulewa, zostawili nas w polu, przy tym grozili nam, że jeżeli nie pójdziemy przed siebie, ze-

[28] W relacji z AJW: „Po długiej wędrówce w ciemnym już lesie dotarłyśmy do jakiejś chałupy. ale tam przestraszono się nas i wygoniono. Chłop krzyczał: «To duchy». Byłyśmy obie zalane krwią, nagie i łatwo mogli nas chłopi wziąć za duchy zamordowanych".

[29] W relacji z AJW: „Wreszcie nad ranem, zrozpaczone i strasznie zziębnięte, weszłyśmy do chałupy, gdzie było dwoje staruszków. Znowu się nas bardzo przelękli, ale my, zdecydowane już na wszystko, ściągnęłyśmy z kufra jakiś łach i okryłyśmy się nim".

[30] W relacji z AJW: „Nad ranem natknęłyśmy się na chuliganów z wsi. Zaciągnęli nas do stodoły, gdzie bili nas i znęcali się, szukając ukrytych pieniędzy. Gdy ich nie znaleźli, postanowili nas odprowadzić do obozu. Na szczęście spadł ulewny deszcz i chuligani, grożąc nam, odeszli".

mszczą się. Czekałyśmy jakiś czas, aż nie zniknęli nam z oczu. Potem poszłyśmy w odwrotną stronę. Nasza sytuacja była rozpaczliwa. Już trzeci dzień nic nie jadłyśmy. Postanowiłyśmy na nowo ryzykować. Weszłyśmy do jakiejś chałupy, prosząc o jakieś łachy, dostałyśmy kawałek chleba z zapowiedzią, abyśmy się jak najszybciej usunęły, gdyż cała wieś wie, że dwie nagie Żydówki wędrują po wioskach[31]. Szybko uciekłyśmy do naszego schronu, tj. do kupy liści i tak przeżyłyśmy 8 dni w lesie. Chłopi przyjeżdżali furami zabrać liście do ogacenia chałup. Gdy dobry chłop nabierając widłami liście zobaczył nas, żal mu się nas robiło, rezygnował z tej kupy i brał drugą, a natomiast inni z przyjemnością odsłaniali nas, śmiejąc się przy tym, że dwie nagie Żydówki ukrywają się w lesie. Przeważnie wyganiali nas[32]. Postanowiłyśmy iść dalej, gdyż dłużej nie mogłyśmy tam pozostać. Cała wieś wiedziała już o nas. Owinęłyśmy sobie nogi szmatami, które co kilka kroków opadały i musiałyśmy je poprawiać. Przez wsie chodzić w tym stroju nie mogłyśmy, gdyż nawet dzieci rzucały za nami kamieniami. Zmuszone byłyśmy chodzić polami, była to okropna droga. Tak zbliżyłyśmy się do Kazimierza[33]. Po drodze natknęłyśmy się na kobietę. Była to Maria Maciąg[34] ze wsi Rogowo, zainteresowała się naszym losem, pytając, czy nie jesteśmy z Poniatowa. Po dłuższej rozmowie przyznałyśmy się, prosząc ją o pomoc. Wskazując nam drogą w doły, powiedziała, że przyniesie nam trochę ciepłej strawy. Oczekiwałyśmy ją z niecierpliwością, mówiąc do siebie, że na pewno nie przyjedzie. Wtem usłyszałyśmy jakieś kroki, nareszcie przyszła ta sama kobieta z dzbankiem zupy. Dała nam jeść i powiedziała, że niczym więcej nam pomóc nie może. We dwójkę, jakby na umówiony znak, zaczęłyśmy płakać, byłyśmy tak bezradne, rozumiałyśmy, że dłużej tak żyć nie będziemy. Prosiłyśmy ją bardzo, żeby nas nie zostawiała, obiecywałyśmy, że jak nas zawiezie do Warszawy, wynagrodzimy ją dobrze. Po długich perswazjach zabrała nas do chałupy, dała nam ciepłą wodę, nareszcie mogłyśmy zmyć twarz zalepioną krwią. Potem wyszukała jakieś łachy i ubrała nas. Byłyśmy szczęśliwe, że Pan Bóg zesłał nam anioła. Byłyśmy u tej kobiety trzy dni. Poszła z nami do lekarza, który nam zrobił opatrunek. Musiałyśmy lekarzowi powiedzieć, że w wiosce był napad bandycki i zostałyśmy ranione. Po trzech dniach wybrałyśmy się w dalszą wędrówkę, ale już nie same i w trochę innym stanie. Nasza opiekunka wykupiła bilety i wsiadłyśmy do pociągu, nam się wydawało, że wszyscy patrzą na nas i wiedzą, kto jesteśmy. Miałyśmy nawet przygodę w pociągu, ktoś uważnie pa-

31 W relacji z AJW: „W jednej z chałup dostałyśmy kawałek chleba, ale zaraz nas stamtąd wypędzono, mówią, że już w całej wsi mówią, że dwie nagie Żydówki wędrują po lasach".

32 W relacji z AJW: „Chłopi, którzy po te liście i gałęzie przyjeżdżali do lasu, często nas tam odkrywali. Zdarzało się, że litościwy chłop omijał tę kupę liści, w której byłyśmy zagrzebane, a nawet dawał nam coś do zjedzenia. Częściej jednak znęcali się nad nami i wyśmiewali".

33 W relacji z AJW Estera przed opisem spotkania Marii Maciąg dodała: „w naszej wędrówce spotkałyśmy jeszcze jedna Żydówkę, która uciekła podczas egzekucji. Nazywała się Rózia (nazwiska jej nie pamiętam) i jakiś czas nam towarzyszyła. Ale razu pewnego, gdy się nam w jakiejś wsi nie poszczęściło i goniono za nami, straciłyśmy ją z oczu i już więcej jej nie spotkałyśmy". Estera przypomniała sobie też: „Byłyśmy już wtedy (po paru tygodniach) jako tako ubrane w łachy, ponieważ Ludce udało się ukryć (ginekologicznie) trochę pieniędzy i za nie chłopka dała nam odzież".

34 W relacji z AJW: „Wtedy spotkałyśmy Marię Maciąg. Była to chłopka z Rogowa. Przed wojną była nianią w żydowskim domu w Warszawie. Jak nam opowiedziała, postanowiła uratować swoich młodych chlebodawców i ich dziecko, ale gdy przybyła do Poniatowa, już było za późno. Młodzi rodzice i ich dziecko zginęli. Maria robiła sobie wyrzuty, że nie zdążyła ich uratować. Wtedy wzruszona naszym wyglądem i beznadziejną sytuacją, postanowiła nas uratować i tym przynajmniej ulżyć sumieniu". Odnośnie do osoby o tym imieniu i nazwisku odnalazłem jedynie informację w *The Encyklopedia of the Righteous Among the Nations. Rescuers of Jews during the Holocaust. Poland*, pod redakcją S. Bendera, S. Krakowskiego (Jerusalem 2004, s. 473). Wspomniani zostali Stanisław i Maria Maciąg. Z biogramu nie wynika jednak jasno, czy w czasie okupacji mieszkali w Krakowie czy na Lubelszczyźnie. Pomogli jednak jakiemuś żydowskiemu uciekinierowi z Lublina – Arturowi Wellnerowi.

trząc na nas odezwał się w obecności Niemca, że na pewno jesteśmy Żydówkami, ale na szczęście Niemiec oddalił się i nie dosłyszał tych słów. Nareszcie byłyśmy u celu".

Dalsza część relacji Estery Rubinstein uzupełnia naszą wiedzę o późniejszych przeżyciach naszych bohaterek i przeżyciach samej Estery po ich rozdzieleniu. Jest to na tyle interesujący materiał, że podaję go bez żadnych skrótów. Uzupełnia on istotnie naszą wiedzę o stronie „aryjskiej", warunkach, w jakich ocaleńcom przyszło się ukrywać wśród swoich współobywateli i sąsiadów. Każdy czytelnik, oczywiście, wyrobi sobie własne zdanie o wojnie, okupacji, naturze ludzkiej, roli przypadku etc., ja pozwolę sobie tę relację bez komentarza.

„W Warszawie. Nasza opiekunka zawiozła nas do jakiegoś mieszkania na Mariensztacie. Była to piwnica i tam stało łóżko. »Co za szczęście« mówiłyśmy, »że możemy się położyć do łóżka«. Przez swoją siostrzenicę, która zginęła, nawiązała nasza opiekunka kontakt z organizacją, która pomagała ukrywającym się Żydom. (Już tu w Łodzi spotkałam na odczycie doktora Adolfa Bermana, któremu się przedstawiłam. Nie znał mnie osobiście, ale wiedział, że byłam na liście tych, którym pomagano.) Wychowanica nawiązała kontakt z Guzikiem. Od razu przysłał nam trochę pieniędzy i lekarza. Wszyscy się już nami interesowali, gdyż byłyśmy naocznymi świadkami wybicia Żydów w Poniatowie. Z organizacji przyrzekli nam, że nas ulokują. Po 5-ciu dniach przyszedł jakiś wysłaniec z organizacji, kazał nam się ubrać i pójść z nim i oznajmił nam, że jeżeli nas ktoś zatrzyma po drodze, to on będzie strzelał, że my mamy uciekać w kierunku Krakowskiego Przedmieścia. Ubrane wyszłyśmy z domu, wsiadłyśmy do dorożki, dorożkarz coś zmiarkował i kazał sobie ekstra zapłacić za »koty« (tak nazywano Żydów, którzy się ukrywali). Na widok rewolweru w ręku naszego opiekuna uspokoił się[35]. Na Placu Mokotowskim wysiedliśmy. Nowemu gospodarzowi nie spodobałyśmy się i w żadnym wypadku nie pozwolił nam przenocować. Byłyśmy strasznie zmartwione, taka wędrówka przez ulice Warszawy wiele nas zdrowia kosztowała. Ale opiekun nasz uspokoił nas i przypomniał sobie, że ma jeszcze mieszkanie, gdzie lokował ludzi na kilka dni. Zaprowadził nas na ul. Próżną do dozorcy domu. Mieszkanie jego znajdowało się pod schodami, a nas ulokował pod szafką, gdzie można było tylko siedzieć, wstać nie można było. Tak siedziałyśmy całą dobę. Drugiego dnia nasz gospodarz upił się, zaczął się awanturować i dobierać się do nas i my dwie wyniszczone, zbolałe kobiety musiałyśmy walczyć ze starym pijakiem. Po trzech dniach znowu przyszli z organizacji, by nas zabrać. Ale my bałyśmy się przejścia przez ulicę, wiedząc, że w takim stanie w jakim się obecnie znajdujemy nie spodobamy się, prosiłyśmy naszych opiekunów, ażeby lepiej tutaj sprowadzili naszą nową gospodynię, by nas obejrzała na miejscu byśmy nie potrzebowały wracać z powrotem, jeżeli się jej nie spodobamy. Ale na szczęście spodobałyśmy się, to jest nie my, lecz te dwanaście tysięcy złotych, jakie jej co miesiąc miano za nas wpłacać. Nasza nowa gospodyni nazywała się Dubiecka, mieszkała na Mokotowie na ul. Madalińskiego 42. Ukrywało się u niej razem z nami 13 Żydów, za każdego brała po 6 tys. złotych miesięcznie[36]. Ukrywała się u niej znana rodzina bogaczy warszawskich Rowińskich, którzy mieli olbrzymią hurtownię trykotaży na Nalewkach, znani byli pod firmą Braun i Rowiński. Rodzina ta ocalała, zdaje się, że mieszkają w Warszawie. Tu dopiero załamałam się. Pięć

[35] W relacji z AJW: „W drodze dorożkarz nagle zwrócił się do naszego towarzysza: «Dajcie za te kotki – odezwał się ze złym uśmiechem – a nie to...». Wtedy młody człowiek, nic nie mówiąc, wyjął rewolwer i przytknął do głowy dorożkarza".

[36] W relacji z AJW: „I znowu nasi opiekunowie znaleźli dla nas inne ukrycie. Tym razem u pewnej pani na Mokotowie, która ukrywała w swym mieszkaniu kilkunastu Żydów. Mówiła sąsiadom, że ukrywa oficerów polskich. Pobierała po 6 tysięcy od «łebka»".

miesięcy byłam ciężko chora. Miałam ataki furii, wiązano mnie. Dzięki pilnej obserwacji lekarzy wyzdrowiałam. Mieszkałyśmy u tej gospodyni 6 miesięcy, ale wobec tego, że nasza gospodyni była w kontakcie a akowcami, zostało to mieszkanie zasypane. Było to w maju 1944 roku. Nasza gospodyni poszła na majowe nabożeństwo i zamknęła nas na kłódkę. Po jej wyjściu zajechała kareta z gestapowcami, którzy skierowali się na nasze schody. Wtem usłyszeliśmy poruszenie kłódki. Każdy z nas był zdecydowany skakać z okna w razie ich wejścia do mieszkania. Na szczęście zeszli z powrotem, weszli do dozorcy i odjechali. Uspokoiliśmy się. Po czasie nadeszła nasza gospodyni, opowiedzieliśmy jej o wszystkim i przeprowadziła nas na strych. Okazało się, że dozorca wiedział o tym, że są u niej schowani ludzie, nie wiedział tylko, że są to Żydzi, gdyż nasza gospodyni mówiła mu, że ma u siebie schowanych polskich wojskowych.

Po tym zajściu skierowano mnie z moją towarzyszką na inne mieszkanie, gdzie warunki były o wiele gorsze i tam byłyśmy aż do powstania. Mieszkałyśmy u wróżki w jednym pokoju przy ul. Puławskiej. Gdy przychodziły do niej klientki chowałyśmy się. Podczas powstania ukrywałyśmy się razem z innymi lokatorami domu w piwnicy. Jakieś kobiety poznały, że jesteśmy Żydówkami. Zaczęto wyganiać ludzi z piwnicy. Ja z towarzyszką moją postanowiłyśmy nie ruszać się z miejsca. Ulokowałyśmy się pod węglem, o głodzie i chłodzie. Niemcy szukali w piwnicach, zabierali towary. Tak przetrwałyśmy 3 tygodnie. W nocy wychodziłyśmy po wodę i jedzenie. Niemcy zaczęli podpalać domy. U nas wszystko się zaczęło walić. Po trzech tygodniach przyszli Polacy rabować. Był wypadek, kiedy Niemiec nam zaświecił latarką w oczy, ale nas nie zauważył. Chciałyśmy już wyjść z piwnicy, by zginąć chociaż na powietrzu. Lecz stało się coś, co nas uratowało. Po trzech tygodniach przyszli Polacy pod eskortą SS, by kopać na Okęciu okopy. W przerwie obiadowej zeszli do naszej piwnicy, by coś zrabować. Jedna z nas stanęła przed nimi zabrudzona, w pierzach, prosząc o pomoc. Jeden z Polaków poradził nam, byśmy się udały za nimi na placówkę, a potem z pracy udamy się, gdzie chcemy. Ubrałyśmy się, doszłyśmy do placówki do okopów. A stamtąd już każda oddzielnie, gdyż ze względu na nasz wygląd postanowiłyśmy się rozejść, udałyśmy się każda w swoją stronę. Od tego czasu już więcej swojej towarzyszki nie spotkałam i nic nie wiem, co się z nią stało. Nazywała się Ludka Fiszer. Była fryzjerką z zawodu, Warszawianką, w Poniatowie straciła dziecko.

Poszłam w kierunku Piaseczna. Potem weszłam do wsi cieżków – Helenów. Weszłam do chłopa, powiedziałam, że uciekłam z Pruszkowa, że wykupiłam się u Ukraińca. Powiedziałam, że moja rodzina jest za Wisłą. Podałam się za krawcową. Dano mi sukienką do uszycia, ale zepsułam ją, potem robiłam na drutach. U tego chłopa była krótko jego córka, twierdziła, że jestem Żydówką. Dałam jej z biciem serca moją fałszywą kennkartę, by mnie zameldowali. Nie poznano się, że jest to fałszywa kennkarta, ale pomimo tego nie zostałam zameldowana, gdyż meldowano tylko krewnych gospodarzy. Córka gospodarza chciała, bym u niej darmo pracowała. Widząc, że się wciąż więcej rozzuchwala postanowiłam od niej odejść. By coś zarobić, musiałam chodzić na rynek, by kupić towar, ale na rynku poznawali, że jestem Żydówką. Nie śmiałam się więcej na rynku pokazać. Syn gospodarza ulokował mnie w końcu na innym miejscu. Tam też szeptano, że jestem Żydówką. Straszne przeżycie miałam podczas meldowania się w gminie. Za moimi plecami stała jedna kobieta. Policjant ją zabrał jako Żydówkę, wyprowadził i zastrzelił. Mnie zameldowano.

Na nowym mieszkaniu również nie miałam spokoju[37]. Synowie mojego gospodarza upijali się często i napastowali mnie. Mówiłam im, że mam męża w Prusach, sama pisałam listy niby od męża, tym ich rozczulałam. Cierpiałam jeszcze z innego powodu. Mój gospodarz robił mi często wyrzuty, że nie jestem na-

[37] W relacji z AJW: „Gdy wybuchło powstanie sytuacja nasza się zmieniła. Kiedy Niemcy pognali Polaków do Pruszkowa, poszłam na wieś i powiedziałam chłopom, że uciekłam z Pruszkowa. Prosiłam o pracę. Umiałam trochę szyć, szydełkować. Dla zmylenia chodziłam do kościoła. Życie było ciężkie, bo mimo mojej kennkarty na nazwisko Maria Konopka, zaczęli niektórzy się domyślać, że jestem Żydówką".

bożną. By nie ściągać na siebie podejrzeń chodziłam do kościoła i modliłam się, ale wciąż się bałam, że poznają we mnie Żydówkę. Materialnie było mi nieźle, gdyż jedzenia mi nie brakowało. Zajmowałam się tylko szydełkowaniem i szyciem, tek trwałam do wejścia Armii Czerwonej. Po wejściu Armii Czerwonej udałam się do Piaseczna, tam się dowiedziałam, że na Pradze jest Komitet[38]. W Komitecie dostałam trochę pieniędzy i udałam się do Łodzi. Pomimo swoich poszukiwań nie znalazłam mojej siostry, która się ukrywała na aryjskich papierach".

Klara Mirska zadała Esterze kilka dodatkowych pytań o kradzież obrusu i nieuciekanie przed zachowującymi się prowokacyjnie chłopami. Czy wyjaśnienia ją przekonały, trudno ocenić, zanotowała: „Estera Rubinstein wyjaśniła, że były strasznie zrezygnowane, że uciekły z Poniatowa nie po to, żeby żyć, ale żeby umrzeć inną śmiercią, że już po prostu nie unikały śmierci". Dodała też na koniec uwagę, którą już cytowałem: „Pewne uwagi dotyczące świadka: Jeszcze teraz świadek przeżywa wiele, gdy opowiada o swoich przejściach. Poznać, że ją te opowiadania męczą, że są to wszystko prawdziwe przeżycia, które do dziś dnia wywołują wstrząs".

Słowa kluczowe
Holokaust, stosunki polsko-żydowskie, Poniatowa, „Dożynki"

Texts buried in the oblivion.
Testimonies of two survivors from the Poniatowa mass grave.

This article contains an analysis and extensive quotations from accounts of two Jewish women, the only survivors of prisoners' execution at the Poniatowa compulsory labour camp. This execution was part of a large-scale operation to physically liquidate Jewish prisoners, the so-called "Operation Harvest" (Erntefest), carried out in the first week of November 1943 at the camps in Trawniki, Poniatowa and Majdanek (in Lublin). Both women survivors,. Due to a number of coincidences, managed to get to Warsaw and, helped by the "Żegota" – Council to Aid the Jews, lived to see the liberation. In this article I also analyse the circumstances of both accounts, reasons for withholding their publication as early as war time, and the importance , for our knowledge, not only of the executions, but also for the nature of complicated Polish–Jewish relations during World War II, because it was the Poles' help that the fate of escaped prisoners hinged upon.

Key words
Holocaust, Poniatowa, Erntefest, Polish–Jewish relation, Righteous among the Nations

[38] W relacji z AJW: „Wreszcie z nadejściem Rosjan zostałam wyzwolona. Strach jednak nie mijał. Sytuacja nie była jeszcze pewna, władze dopiero zaczynały funkcjonować i łatwo mogło się w owych czasach zdarzyć, że Żyd został przez niewiadomych sprawców zabity. Razu pewnego, gdy przyjechałam na rynek w Pruszkowie z nabiałem na sprzedaż, usłyszałam jak chłopka jedna zawołała: «Popatrzcie, Żydówka!». Tak dalece ukazanie się w tych czasach Żyda budziło sensację. Szybko uciekłam z tego miejsca, nie chcąc narazić się na niebezpieczeństwo. Powoli jednak stosunki się normowały. Za zarobione w handlu pieniądze kupiłam sobie koc, poduszkę, pozbywałam się stopniowo panicznego strachu przed odkryciem, że jestem Żydówką. Powoli powracałam do normalnego życia".